Nr. 176. Lwów — Piątek dnia 2 Sierpnia. Rok 1901.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: NMP. Anielskiej | Iłyi Pror.
Jutro: Zual. św. Szczepana | Symeona

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 4 m. 43
Zachód „ „ 7 m. 28

Długość dnia godzin 14 minut 45
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Bezprawia prawodawców.

Doszło w parlamencie belgijskim do tego, że prezydent izby, obrażany i znieważany przez obstrukcyonistów radykalnych i socyalistycznych, musiał prosić ministra sprawiedliwości, aby wezwał sądy do ścigania deputowanych, nadużywających swego mandatu. Zjawił się tedy w parlamencie prokurator i rozpoczął śledztwo, poczem pod sąd pójdą deputowani, hańbiący swe powołanie. W dzisiejszych czasach można szczęśliwym nazwać kraj, którego konstytucya pozwala na takie pokierowanie sprawy.

Lecz o co w tym parlamencie poszło? Może o dziesiątą w ostatniem dziesięcioleciu zmianę ustawy wyborczej. Wiadomo, że żadne ustępstwa radykalistom i socyalistom ich nie zadawalają, owszem, zachęcają do coraz nowych żądań. Tak też było w Belgii, w kraju „najbardziej liberalnym“ w Europie i właśnie pokutującym za to, że bardzo długo panowała w nim liberalna bezdogmatyczność. Po coraz większem rozszerzaniu prawa wyborczego, doprowadzono w nim w roku przeszłym do takiej ustawy, która daje głos wyborczy wszystkim zgoła dorosłym mężczyznom, mającym jakiekolwiek własne mieszkanie, a nie skazanym przez sądy na hańbiące kary; lecz równocześnie, stosownie do wielkości opłacanego podatku, dano wielu obywatelom jeszcze jeden głos wyborczy, a niektórym jeszcze dwa głosy. Otóż w tym roku radykaliści i socyaliści zażądali usunięcia owych podwójnych i potrójnych głosów, a także zniesienia warunku, iż wyborca musi mieć bodaj jakieś własne mieszkanie i że nie powinien być napiętnowany hańbiącą karą; słowem zażądali nieograniczonego niczem, równego, powszechnego prawa głosowania; żeby zaś dobić się swego, postawili wniosek, aby tę sprawę rozstrzygnięto nie w parlamencie, lecz za pomocą „referendum“, czyli głosowaniem całego narodu. Za najlepszy zaś sposób przeforsowania tego wniosku uznali obstrukcyę — zupełnie tak samo wrzaskliwą i karczemną, jak obie wiedeńskie, jakżeby się uczyli i u czeskich muzykantów i u Wolfa z Schoenererem. Lecz, jakeśmy wyżej rzekli, na życzenie prezydenta, wmieszał się w tę sprawę prokurator.

Dwaj główni kierownicy obstrukcyi — jeden radykał i jeden socyalista — pójdą podobno do kozy, ale to nie załatwi sprawy reformy wyborczej. Uznają stronnictwa umiarkowane, że skoro się weszło na drogę ustępstw radykalizmowi, to już się zatrzymać nie można, trzeba iść tam, gdzie pędzą wywrotowcy. Wskutek tego umiarkowane stronnictwa, tworzące większość, zdobyły się na krok niespodziewany: oto oświadczyły, że przystaną na żądaną reformę wyborczą, lecz pod warunkiem, że prawo głosu otrzymają nietylko wszyscy mężczyźni, ale także wszystkie kobiety. Prasa katolicka wnet podchwyciła tę myśl, urządziła wiec pod kierunkiem ministra De Smet de Naeyera, poczem ogłosiła taki komunikat:

„Przyznane kobietom prawo umieszczenia co dwa lub cztery lata kartki w urnie wyborczej nie przeszkadzałoby im w ich obowiązkach domowych, a natomiast zapewniłoby im możność obrony i pod politycznym względem interesów swej rodziny, które to interesy oceniają one często daleko trafniej niż mężczyźni. Twierdzenie, jakoby wykonywanie prawa wyborczego przez kobiety wywołać mogło zatargi pomiędzy niemi a ich mężami, nie jest wystarczającym powodem do odmawiania im prawa głosowania. Nie ma przecież najmniejszego dowodu na to, że kobiety zasadniczo głosować będą inaczej jak ich mężowie. Cóżby powiedziano o prawodawcy, któryby chciał zakazać kobietom spełniania ich obowiązków religijnych z tego powodu, że wielu mężczyzn nie wierzy w Boga? Nie widzimy też powodu, dla któregoby należało niezamężnym kobietom i wdowom odmawiać prawa, przyznanego kobietom zamężnym. Skoro więc prawo głosowania pojmowane jest jako prawo przyrodzone, to żadnymi względami nie da się usprawiedliwić upokarzające wyłączenie kobiet z życia politycznego. Radykałowie opierają się przyznaniu kobietom prawa głosowania pod pozorem, że kobiety wybierać będą w duchu katolickim. Radykałom wystarczyć może to uzasadnienie ich oporu, nie ostoi się ono jednak żadną miarą wobec wymagań trzeźwego rozumu“.

Niespodziewana ta obrona prawa wyborczego kobiet ze strony katolików wywołała formalny popłoch w radykalnym obozie. Umieścił on wprawdzie równouprawnienie kobiet na naczelnem miejscu swego politycznego i społecznego programu, w przekonaniu jednak, że nie urzeczywistni się nigdy to żądanie. Obecnie, gdy wbrew wszelkim przewidywaniom tak zw. „zacofańcy“ oświadczają się za tym radykalnym postulatem, budzić się zaczyna w kołach radykalnych i socyalistycznych obawa co do praktycznych następstw tej reformy. Na świeżo więc odbytem zebraniu ogólnem stronnictwa robotniczego jeden z mowców zaznaczył, że ogromna większość kobiet belgijskich pozostaje pod wpływem duchowieństwa, oraz że nawet żony wielu socyalistów głosować będą na kandydatów katolickich. Ostatecznie jednak po ożywionych obradach zwyciężyło zdanie, że stronnictwo socyalistyczne pomimo niebezpieczeństwa, zagrażającego mu wskutek przyznania kobietom prawa wyborczego, sprzeniewierzyć się nie może swym zasadom — i przyjęto prawie następującą rezolucyę: „Rada generalna przypomina grupom i członkom stronnictwa robotniczego dawniejsze uchwały w sprawie politycznego równouprawnienia obu płci, i prosi ich, aby agitacyę w tym kierunku szerzyli z całym naciskiem wśród kobiet“.

Tak więc oba najliczniejsze stronnictwa belgijskie zgadzają się w zasadzie na projekt nadania kobietom prawa wyborczego. Musimy tu jednak zwrócić uwagę na to, że rozumowanie zawarte w komunikacie obozu katolickiego jest bardzo słabe. Niezaprzeczenie, rzucanie kartki wyborczej do urny raz na dwa, albo raz na cztery lata nie przeszkodzi kobietom spełniać ich domowych obowiązków; lecz gdyby na tem tylko polegało prawo wyborcze, to i mężczyzn onoby nie rozwydrzyło pod względem politycznym, a przecież ogromnie rozwydrzyło, ogromnie ich zradykalizowało i zdeprawowało. Czy podobna zaprzeczyć Wojciechowi Dzieduszyckiemu, który w swej rozprawie o messyanizmie w *Przeglądzie Polskim* powiada: „Wykonywanie praw politycznych w nowożytnem państwie obniża w tłumach intelekt i moralność“. Że obniża, świadczą fakta tysiączne, codzienne, odbywające się pod wszystkimi stopniami geograficznej długości i szerokości; świadczy to, że z każdych nowych wyborów wychodzą co raz gorszego gatunku deputowani. A inaczej też być nie może, bo kto co dwa lub co cztery lata rzuca kartkę do urny, ten co dzień, ustawicznie jest obrabiany przez agitatorów i tem łatwiej przejmuje się ich naukami, czem sam jest mniej politycznie wyrobiony i czem mniej w skutek tego umie trzymać na wodzy swe pożądliwości.

„Solidarność“ słowiańska.

Piszą nam z Wiednia, 31 lipca:

Pierwszy zjazd słowiański w Pradze, r. 1848, skończył się ruchawką, która sprowadziła zbombardowanie Pragi przez ks. Windischgraetza. Ponieważ wówczas Polacy słynęli jako rewolucyoniści, a Czesi dostarczali Austryi najciętszych dyrektorów i inspektorów policyi, powstała natychmiast legenda, że to polscy goście, zamieszkali pod „Czarnym Koniem“, dali hasło do ruchawki. Autentyczne dzieje wskazują raczej na głośnego swego czasu rosyjskiego commis-voyageura anarchizmu, a według innej wersyi cesarsko-rosyjskiego agenta prowokacyi Bakunina i na warcholstwo garstki studentów czeskich, na których czele stanął znany później emigrant Fricz.

Ale mniejsza o sekretne dzieje owej burdy. Dość, że odtąd nie minął żaden zjazd słowiański, któryby nie był, po szumnych deklamacyach rzekomej solidarności, wywołał potem drażliwych epilogów, wzajemnych wymówek, żalów i kłótni! Rzecz całkiem logiczna! Sztuczne bowiem wmawianie w siebie i innych, że istnieje solidarność słowiańska, musi z natury rzeczy wywołać zawsze reakcyę, po części pomiędzy samymi uczestnikami takich zjazdów, a tem więcej pomiędzy milionami, którzy tam nie byli i którzy mają wszelkie prawo podawać w wątpliwość mandat kongresowiczów. Nie zaznacza się w tem żadna „niższość“ słowiańska. Po każdym kongresie panromańskim, albo pangermańskim (Anglia, Niemcy, Szwecya, Dania, Holandya) odezwałaby się równie głośno ta sama naturalna reakcya realnych interesów i narodowych uczuć przeciwko romantycznym mrzonkom szczepowym.

Ostatni słowiańsko-francuski zjazd „Sokołów“ w Pradze, doczekał się szczególnie drastycznych epilogów. Najciekawszym z nich jest dla nas „ankieta“, urządzona przez *Reformę* i zakopański kongresik Szlązaków. Nie wchodząc w szczegóły, tyle jest rzeczą widoczną, że pomiędzy nami a Czechami zachodzi pod bardzo ważnymi względami sprzeczność realnych interesów, której wszystkie dotychczasowe zjazdy słowiańskie nietylko nie usunęły, ale która raczej po każdym takim zjeździe występuje na jaw dobitniej, niż przedtem.

Co mianowicie dotyczy kwestyi ogólnosłowiańskiej, to optymiści pomiędzy nami łudzili się dawniej, że, zbliżając się do Czechów, zdołamy ich wyleczyć z przesadnego rusofilizmu. Teraz pokazuje się, że przeciwnie Czesi korzystają z każdego zjazdu, aby pod pretekstem solidarności słowiańskiej szerzyć pomiędzy nami rusofilizm. To nareszcie zrozumieli nawet najgorętsi czechofilowie nasi. Co zaś dotyczy Szlązka, to Czesi solidarność słowiańską rozumieją tak, że ona pozwala im bezwzględnie czechizować Szlązk — a marzyć w dodatku o Zatorze i Oświęcimiu, reklamowanych nieraz przez *Narodni Listy* dla korony św. Wacława! W imię solidarności słowiańskiej Czesi wypierają nas ze Szlązka, równocześnie zapraszają nas, abyśmy oddali wschodnią Galicyę Rusinom, żądają od nas zupełnego poddania się braciom „Rusom“ w Kongresówce — a w nagrodę piętnują czasem exterminacyjną metodę Prusaków, którym te notatki organu młodoczeskiego, niestety, wcale nie imponują!

Bilans zatem tej szczególnej solidarności słowiańskiej wypada dla nas na wszystkich punktach — ujemnie, i nie pozostaje nic innego, jak stać wyłącznie pod sztandarem narodowym, a pozostawić innym zabawki rasowe, które dla nas oznaczają pod każdym względem abdykacyę!

Teoretyczna kwestya wojenna.

Piszą nam z Wiednia, 31 lipca:

Pogłoska o wojskowej konwencyi pomiędzy Austro-Węgrami a Rumunią wywołała różne komentarze fachowe. Mianowicie dziennik *Rosya* dowodził, że Rumunia, przechyliwszy się na stronę Austryi, w razie wojny będzie zmiażdżona jak orzech pomiędzy wojskami rosyjskiemi a bułgarskiemi. Na to odpowiada *Reichswehr*, jak wiadomo organ kół wojskowych. Dziennik ten zaznacza, że wielka strategiczna ważność Rumunii zasadza się na tem, że Rumunia zagradza Rosyi drogę na południe. Dlatego tak ważną jest kwestyą, po której stronie ewentualnie stanie Rumunia? Na wiosnę r. 1889 rumuński prezes gabinetu Catargiu oświadczył w parlamencie: „Jeżeli neutralność stanie się niemożliwą, Rumunia uczyni wybór, zabezpieczający nasz interes“. Poczem dodał: „Trzeba będzie dobrze rozważyć, bo za rządów Bratiana szczęśliwą wojnę opłaciliśmy utratą prowincyi“. Odnosi się to do faktu, że po wojnie 1877, Rosya zmusiła sprzymierzeńca rumuńskiego do odstąpienia jej Besarabii. W każdym razie od r. 1883 rząd rumuński przeprowadził fortyfikacyę kraju na największą skalę. Powstała uzbrojona potrójnym rzędem dział Kruppa i Gruzona linia Gałacz-Fokszani. Równocześnie Bukareszt został zamieniony na obwarowany obóz; na obwodzie 72 kilometrów stanęło 18 warowni o wieżach pancernych. Obóz ten może pomieścić około 200.000 żołnierzy. Stąd *Reichswehr* wnosi, że rosyjskie wojsko VI-go (odeskiego) okręgu, obejmujące 7 i 8 korpus, nie wystarczyłyby wcale, jak sądzi *Rosya*, na rozpoczęcie zaczepnej wojny przeciwko Rumunii. Co zaś dotyczy kooperacyi armii bułgarskiej, *Reichswehr* przypomina, że od Wrót Żelaznych do morza Czarnego, na długości 136 mil, granicę bułgarsko-rumuńską tworzy Dunaj, 1500 do 2000 stóp szeroki, a 10 metrów głęboki. Nie jest wcale prawdopodobną rzeczą, aby 6 dywizyi bułgarskich zdołało przekroczyć tę baryerę wobec przeciwnika, liczącego 4 korpusy, czyli 9 dywizyi? Zwłaszcza, że Rumunia posiada już znaczną flotylę, złożoną z 6 pancerników, 8 monitorów, 24 łodzi torpedowych, 8 czółen torpedowych. Najtrudniejsze kombinacye teoretyczne często nie dopisują na wojnie, w której bardzo często rozstrzyga „sa Majesté le hasard“. W każdym razie nie zanosi się na bliską próbę kombinacyi *Rosyi*, względnie *Reichswehry*.

Przemysł domowy w Galicyi.

Ministeryum handlu poleciło w r. 1897 inspektorom przemysłowym w całej Austryi zbadanie szczegółowe stosunków przemysłu domowego (t. zw. *Heimarbeit*) w okręgach im przydzielonych. Relacye ich zredagowane w języku niemieckim stanowią trzy spore tomy, zawierające materyał nader obfity i cenny. W drugim tomie, obejmującym Morawę, Szląsk, Galicyę i Bukowinę, mieści się 44 sprawozdań pióra pp. Arnulfa Nawratila, Zygmunta Kremera, Ludwika Smyczyńskiego, Kazimierza Skrochowskiego i Karola Adama, opisujących rozmaite gałęzie galicyjskiego przemysłu domowego.

Przytoczymy z tych artykułów niektóre interesujące ustępy.

O przemyśle domowym garncarzy w lwowskim okręgu nadzorczym.

Ludność wiejska i małomiejska w Galicyi jest biedna, jej urządzenie domowe prymitywne i ubogie; kupuje ona tylko najtańsze przedmioty, potrzebne do gospodarstwa, a z bardzo małymi wyjątkami gotuje swe potrawy w ten sposób, iż przystawia naczynia wprost do ognia wolno palącego się w piekarskim piecu; odnosi się to zwłaszcza do okolic górskich i do miejscowości oddalonych od miast. Przy takim sposobie gotowania trudno używać naczyń kamiennych, porcelanowych, z emaliowanej blachy lub żelaza lanego — prócz tego dla naszej ludności zawsze jeszcze zbyt drogich — a to z powodu, że wskutek tego, iż naczynie rozgrzewa się tylko z jednej strony, pękają one lub tracą powłokę emaliową, a zatem rychło się psują. Tedy ludność zmuszona jest używać naczyń glinianych.

W mleczarstwie w całym kraju prawie wyłącznie używa się glinianych garnuszków i garnków; także do przenoszenia na targ masła, śmietanki i t. p. używają chłopi tanich naczyń glinianych. To też od niepamiętnych czasów uprawiany jest w kraju ten rodzaj garncarstwa i to prawie wyłącznie jako narodowy przemysł domowy.

Ponieważ odpowiedni materyał surowy prawie wszędzie się znajduje, z wyjątkiem chyba miejscowości wysoko w górach położonych i ponieważ wyroby garncarskie z powodu swej taniości nie wytrzymują dalekiego transportu, gdy nadto urządzenie warsztatu garncarskiego wymaga bardzo małych wkładów, a wyroby gotowe sprzedawać można także bez kapitału obrotowego, przeto jasną jest rzeczą, że garncarstwo wykonywane jest w bardzo wielu miejscowościach kraju.

Od dawien dawna garncarze starali się, skoro tylko jakie takie były po temu warunki, osiadać w przedmieściach lub przysiołkach miast lub miejscowości targowych i sprzedawać swe wyroby na miejscu. Z czasem rzemiosło to przeszło także na innych mieszkańców, tak, iż obecnie w całym kraju garncarstwo jest bardzo licznie praktykowane i są miejscowości, w których garncarze stanowią większą część ludności.

W ogólności przemysł ten silniej rozwinięty jest we wschodniej części kraju, niż w zachodniej, co może tem się tłómaczy, że stosunki komunikacyjne na wschodzie są gorsze i ludność wiejska jeszcze bardziej trzyma się tam zdala od postępowych urządzeń, niż w Galicyi zachodniej.

Prawie każda okolica używa innych naczyń pod względem formy i ozdób. Najoryginalniejsze i najpiękniejsze pochodzą z Kosowa, Kut i Pistynia w pow. kosowskim i z Kołomyi. Są one gustownie przyozdobione w zielone, bronzowe i żółte kwiaty i stylowe figury geometryczne na białem tle; garncarz ostrem narzędziem rytuje kontury tych ozdób na surowej glinie, pomalowuje je farbą i pali po raz pierwszy; następnie polewa naczynie przezroczystą glazurą i pali je po raz drugi. Podobne są wyroby garncarskie z sokalskiego, tylko, że tam używają dla ozdoby przeważnie figur ptasich.

W Toustem (pow. skałacki) wyrabia się naczynia z bardzo charakterystycznemi ozdobami. Na mokrą glinę, obracającą się na krążku, wylewa garncarz z małych lejkowatych naczyń (zazwyczaj z końców rogów krowich) kolory w symetrycznych liniach; następnie naczynie pali się po raz pierwszy, polewa glazurą i pali po raz drugi. W Halickiem wyrabia się naczynia ciemne z plastycznemi, jaśniejszemi ozdobami.

Prócz tych ozdobnych naczyń wyrabiają jeszcze zwyczajne naczynia kuchenne nieglazurowane czerwone lub szare, dalej czerwone z uchem glazurowanem, oraz całe wewnątrz glazurowane, zewnątrz zaś tylko przy uchu; bardzo mało naczyń wyrabia się glazurowanych w zupełności wewnątrz i zewnątrz. Wszędzie wyrabiają garnki, dzbanki, miski, rondle, słoje w przeróżnych formach, talerze, solniczki i pieprzniczki, flaszki na wódkę (t. zw. kołacze i pleskanki), lichtarze domowe i kościelne, pokrywki, wazony, podstawki, zabawki, kafle, gdzieniegdzie także rury drenowe, jednakże tylko na własną potrzebę lub na zamówienie.

Najczęściej garncarstwo jest głównem, choć nie jedynem zajęciem pracowników, albowiem prawie każdy pracuje także w rolnictwie. Wskutek coraz większego rozdrabniania gruntów, złego gospodarowania, łatwego kredytu przy niedostatecznem wykształceniu, ci garncarze częstokroć popadają w złe stosunki, tracą odziedziczony swój grunt i z musu wyłącznie już zajmują się garncarstwem. Chętnie idą oni w czasie żniw na robotę jako najemnicy.

Nakładców w właściwem tego słowa znaczeniu nie ma w tej gałęzi przemysłu domowego. Z reguły garncarze pracują na własny

---

27)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Wosiński mając rozkaz zajęcia stanowiska obserwacyjnego w Grabówce — przedewszystkiem pomyślał o jakiejś uczciwej kwaterze. Dopadłszy więc pierwszej chaty, jął rozpytywać ludzi. Wskazano mu na skraju wsi od strony Częstochowy karczmę żydowską. Wosiński wprost do niej podążył. Nakazał na migi sierżantowi rozstawić widety, a sam buńczucznie ze srogim animuszem wpadł do karczmy.

Mieszkańcy Grabówki tymczasem w niemem przerażeniu nadsłuchiwali w zapartych chatach a izbach, co się to we wsi ich dzieje. Już od tygodnia patrzyli osłupiali na przebiegające drogę w popłochu oddziały pruskie, na ciągnące sznury wozów a bryk. Płynąca fala żołdactwa co chwila zawadzała o ich chaty, wybierała im szkapiny, opróżniała spiżarnie, żądała postronków a uprzęży, spędzała ludzi dla podnoszenia wywróconych wozów, a zawsze naglıła do pośpiechu. Nagle fala zaczęła rzednąć, już tylko niekiedy od Łobodna, Truskolasów czy Wilkowiecka szedł, jak wicher, oddział konnicy, lub pędził wózek węgierski, mijał bez zatrzymania wieś i ginął na skręcie drogi, po za którą rysowała się w mgłach wysmukła wieżyca Jasnogórskiego klasztoru. I potem ucichło wszystko na czas jakiś. Kmiotkowie głowili się, coby to wszystko znaczyć mogło. Wprawdzie Szmul karczmarz zapewniał, że wojna znów się zaczyna, że Prusaków już pobili Francuzi i że do Grabówki idzie tu jeden wielki bardzo i straszny Napoleon, ale temu mało kto dawał wiarę. Zwłaszcza iż starzy gospodarze Grabówki, którzy jeszcze króla Sasa pamiętali, zapewniali gromadę, że Niemcy, jako rozmaite dyabły luterskie na usługach mający, pobić by się nie dali. Jakby na potwierdzenie tych słów, od Częstochowy nadciągnął pluton pruskiej kawaleryi. Nadciągnął cicho, bez wrzawy a hałasu i hen na szosie do Kłobucka się zatrzymał i jakby wrósł w ziemię. Żdziwiła się nie pomału gromada tej nieruchliwości a milczeniu wrzaskliwych a hałasujących zwykle Prusaków, a jęli wypatrywać, co oni tam robią. Od świtu do późnej nocy kto śmielszy z wyrostków, podkradał się do Prusaków, wlepiał w nich ciekawe oczy i wracał z nowiną do wsi.

— I cóż?! — rozlegały się pytania.

— Dyć stoją! — brzmiała odpowiedź.

Wszystko to razem nie zdawało się wróżyć nic dobrego. Więc ten i ów chudobę zbierał i krył, gdzie się dało, wszystko, co jakąś mogło stanowić wartość dla żołnierza. Dziewki młode już zawczasu upatrywały sobie kryjówki w sklepach, a pod powałami. Parobczaki jeno znaku czekali, aby umknąć w lasy przed zaciągami.

W chwili, gdy Wosiński wpadł z sierżantem i kilku strzelcami do karczmy, świeciła ona pustkami. Za szynkwasem w kącie, w oświetleniu zatkniętego w ścianie łuczywa, siedziała stara Siapsiowa, skulona i drżąca.

Kapitan huknął ostro na żydówkę, pytając o karczmarza. Siapsiowa skoczyła na równe nogi, lecz posłyszawszy dźwięk polskiej mowy, nabrała otuchy i, zniknąwszy w alkierzu na chwilę, powróciła, popychając naprzód wpół zgiętego Szmula.

— Światła dać więcej!... Jadła naszykować... gorzałki... miodu!...

— Wielmożny panie... miodu?! — jęknął żyd. — Gorzałki?... Skąd wziąć?!... Biedny karczmarz jestem... co buło, zabrali... zrabowali!...

— Dosyć tego! — huknął Wosiński. — Ani mru... mru!... Żartów nie ma!... Jak mi w trzy pacierze się nie uwiniesz, pójdziesz z dymem...

— Z dymem!... Owa! Owa! Wielmożny pan nie skrzywdzi biedne żydki! — wmięszała się z krzykiem i płaczem Siapsiowa. — Wielmożny pan przebaczy!.. My sami może tydzień nie mamy co w gębę włożyć!... Każdy przyszedł, każdy zabrał!!... Tylko te pięć dzieciów zostało i trochę chleba z cebulą!!...

Wosiński ręką machnął:

— Nie wyć mi! Słyszeliście? Drugi raz wam nie powtórzę! Jedno z dwojga, albo was każę upiec... albo — dodał łagodniej — zarobicie parę czerwonych złotych!... Patrzcie, tu jest złotko... a tu żagiew!...

Żydom na widok dukatów oczy się zaświeciły. Aż do kolan kapitanowi przypadli.

— *Kikste!* — wołała z uciechą żydowica. — Widzisz! Ja odrazu ci powiedziałam, jak tylko wielmożny pan wszedł, że wielmożny pan, to jest taki wojewoda... taki...

— Dalej! Żywo!! — fukał Wosiński!

— Już, już wszystko będzie! Zaraz będzie! W tej chwili będzie!... Już jest!... Może wielmożna osoba rozkaże muszkateli zagotować. To je taki muszkatel, co w całej okolicy nie ma... Pan wojski z Klepaczka ile razy przyjedzie...

— Zamkniecie wy nareszcie gęby?...

— Już, już! Sza! Sza!!...

Karczmarz z karczmarką zabrali się żywo do spełnienia rozkazów kapitana. Z głębi karczmy do izby gościnnej wysypała się cała czereda żydziątek. Powstał gwar i hałas. Uwijali się wszyscy ochoczo. Izbę oświetlono, stół okryto obrusem, ba, nawet ławę podesłano Wosińskiemu starym kilimkiem.

Kapitan rozsiadł się wygodnie za stołem, a spojrzawszy na wyprostowaną postać starego sierżanta, skinął nań i wskazał mu miejsce na drugim końcu stołu. Sierżant salutując, przykucnął na rogu ławy, wzruszony zaszczytem, który go spotykał.

Wosiński przeciągnął się z zadowoleniem. No, czuł się nareszcie, jakby na swoich śmieciach. Kubek gorzałki do reszty wypogodził czoło kapitana. Misa jajecznicy roprószyła czczość.

Wosiński nie zapomniał i o swoich podkomendnych. Sierżantowi sam jadło i napój podsunął, dla strzelców kazał co prędzej barszczu z kartoflami nagotować, a piwa zagrzać. Zaczem po sołtysa kazał żydom posłać.

Stary Mateusz Kiciak, sołtys Grabówki, zjawił się duchem, czapkując a kłaniając się do ziemi.

Wosiński zagadnął go o adjutanta Levitoux, a zapewniwszy się, iż leży w wygodach i cieple, opatrzony przez baby, jął go o Częstochowę i okolice rozpytywać.

Sołtys z początku kłaniał się a wzdychał ciężko, mierząc Wosińskiego nieufnym spojrzeniem, lecz powoli rozgadał się.

Wieść o rannym oficerze w chacie sołtysa i o zatrzymaniu się oddziału wojska przy karczmie, w oka mgnieniu obiegła całą wieś. Jeden i drugi ze śmielszych wychylał się z izby, podchodził do karczmy, a ośmielając się widokiem rozprawiającego sołtysa, przestępował próg izby gościnnej. Ludu powoli do karczmy napływało coraz więcej, kupiąc się w oddali od stołu kapitana. Wieśniacy coraz życzliwiej spoglądali na zmiatających barszcz z kartoflami strzelców.

A Wosiński raczył się tymczasem tą zachwaloną przez arendarza muszkatelą, mrugając znacząco na sierżanta i powtarzając doń z przekonaniem:

— Co!? *Bon? Bon?*

Flageolet za każdym razem ocierał rękawem mokre wąsiska, podnosił się z ławy i salutując, raportował z wzrastającem przekonaniem:

— *Suprême — capitaine!*

— A widzisz niedźwiedziu! — potakiwał Wosiński.

W karczmie zaczęto szeptać, a w końcu i gwarzyć coraz śmielej. Kapitanowi twarz poczerwieniała z lekka. W głowie mu potrosze szumieć zaczęło. Zakrzyknął na żyda:

— Hej! Karczmarzu! A dajże i tym chłopom po kwaterce. Niechże im ślina do gęby naprożno nie idzie!

— A jaj! Jaki jaśnie wielmożny pan dobry!... Jaki jaśnie pan wspaniały pan! — wołał karczmarz z zachwytem. — Słyszycie kapcany!!...

W gromadzie rozległ się szmer zadowolenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

rachunek własnemi narzędziami i materyał surowy również sami sobie kupują. Kto tylko może, sam też sprzedaje swe wyroby, albo wprost konsumentom, albo partyjami handlarzom. Chcąc jednak sprzedać od razu całą zawartość pieca, stara się garncarz przewieźć swe wyroby na targi okoliczne, w którym to celu musi wynająć wóz i konie. Dawniej, gdy grunta chłopskie jeszcze nie były tak rozdrobnione, chłopi trzymali o wiele więcej koni, niż obecnie; wówczas nie trudno było garncarzowi dostać tanio fury. Obecnie musi on najmować drogie podwody. Prócz tego ryzykuje on, że nie sprzeda na targu całego zapasu swego; gdy zaś zostawianie naczyń glinianych na składach jakichś byłoby zbyt drogie wobec niskiej ich ceny, odwiezienie zaś ich do domu również by się nie opłacało, przeto bardzo często musi garncarz sprzedawać pozostałe naczynia za bezcen. Dlatego obecnie wolą garncarze wyroby swe zaraz po wypaleniu sprzedawać w domu handlarzom, oczywiście za cenę niższą.

Handlarze, prawie wyłącznie żydzi, utrzymują z garncarzami stałe stosunki, dają im zamówienia i przybywają po towar wtedy, gdy otrzymają zawiadomienie, że jest gotów, lub też przychodzą peryodycznie do danych miejscowości, gdy przypuszczają, że garncarze swe roboty pokończyli. Ubodzy garncarze utrzymują od tych handlarzy nieraz zaliczki — zawsze jednak niewielkie i rzadko przewyższające jednorazową zawartość pieca. Często garncarze biorą od handlarzy także materyały surowe, a nawet opał i środki żywności na rachunek ceny kupna swych wyrobów. Tacy garncownicy są prawie całkiem zależni od handlarzy i często są przez nich wyzyskiwani — zwłaszcza tam, gdzie mieszka wielu garncarzy. Pośredników między handlarzem a garncarzem nie ma.

Glinę rzadko kiedy mają garncarze na własnych swych gruntach. W niektórych miejscowościach mają oni od dawien dawna prawo brać glinę do swych wyrobów z pewnych gruntów gminnych, dworskich lub należących do probostwa, czy to za darmo, czy za małą roczną opłatą. Tak np. w Toustem płaci za taką służebność 29 garncarzy razem 10 zł. rocznie tamtejszemu probostwu. W Kosowie, Kutach i Pistyniu płaci każdy garncarz gminie 1 zł. rocznie. W niektórych okolicach kwota ta wynosi nawet 10 zł. na każdego garncarza. Gdzieindziej, jak np. w Kołomyi, miejscowy związek garncarski zakupił kopalnię gliny, z której członkowie pobierają glinę darmo.

W Potyliczy (pow. Rawa ruska) znajduje się w głębokości 14 do 20 m. pod powierzchnią ziemi glina ogniotrwała. Wydobywanie jej stanowi osobną gałąź zarobkowania tamecznych drobnych właścicieli ziemskich, nie podlega jednak ordynacyi przemysłowej, gdyż dzieje się bardzo prymitywnie, jako uboczne zajęcie gospodarstwa rolnego.

W dalszym ciągu opisują autorowie sprawozdania szczegółowo techniczną stronę pracy galicyjskich garncarzy. Wspominają przytem o [illegible], który bardzo [illegible] przez działanie dymu z pieca pod koniec palenia. Naczynie to używane jest przeważnie w [illegible] we wschodniej Galicyi.

Sprzedaje się naczynia gliniane kopami, przyczem jednak jednostką, których 60 stanowi kopę, nie zawsze jest jedno naczynie, ale stosownie do wielkości od 1 do 10, a nawet do 15 naczyń; — rozmaitych formatów istnieje zazwyczaj 4 do 7. Otóż każdą kopę, czy składa się ona faktycznie z 60 dużych, czy z 900 małych naczyń, sprzedaje się za tę samą cenę. Garnki szare sprzedaje się setkami, a nie kopami, przyczem i ta jednostka stanowi 1 do 6 naczyń.

Nieglazurowane naczynia kosztują 3 zł. do 5 zł. 80 ct. za kopę, glazurowane przy uchu 4 do 8 zł., wewnątrz glazurowane 9—12 zł., wewnątrz i zewnątrz glazurowane 12—14 zł.

Jeden pilny robotnik, przy pomocy członków swej rodziny, może w miesiącu wykończyć 3 kopy; w zimie jednak suszenie naczyń odbywa się powoli, tak, iż w roku może robotnik liczyć tylko na 10, a nie na 12 takich partyi.

Czysty zarobek np. w Potyliczy ośmiotygodniowej roboty garncarza wynosi przeciętnie 15 zł.; jeżeli robota bardzo dobrze się uda, natenczas zarobek podnieść się może do 20 zł., gdy jednak gorzej się powiedzie, spada i do 10 zł., lub jeszcze niżej. Jeżeli robotnik ma dzieci powyżej lat 10, to one z odpadków wyrabiają małe garnuszki. Piec cały, wypełniony tymi małymi garnuszkami, może mu dać dochodu brutto 5 do 6 zł. Według tego obliczenia więc rocznie w Potyliczy robotnik zarobić może 123 zł. 90 ct.

W sprawozdaniu przytoczone są jeszcze inne szczegółowe daty, a rezultat ogólny jest ten, że roczny zarobek garncarza w korzystnych warunkach nie przekracza 200 zł., a nawet wyjątkowo dochodzi do 300 zł.

W Kołomyi powstała w r. 1882 w kołach inteligencyi spółka celem podniesienia tamecznego przemysłu garncarskiego i wyzwolenia go z pod wpływu handlarzy, ale po trzyletnim istnieniu musiała się rozwiązać wskutek nieprzychylności garncarzy i ich braku obrotności w interesach.

Garncarze pracują przeważnie bez czeladników, tylko przy pomocy członków swej rodziny; jedynie do cięższych robót, jak kopanie gliny, rąbanie drzewa tu i ówdzie najmują wyrobników.

W niektórych okolicach jednakowoż istnieją czeladnicy garncarscy; są to garncarze podupadli. Nieżonaci najmują się z mieszkaniem i wiktem, żonaci prowadzą własne gospodarstwo.

Płaca ich wynosi 30—40 ct. dziennie, lub 1 złr. 50—1 zł. 80 ct. za kopę. Za wikt odciąga się 20—40 ct. dziennie.

W niektórych okolicach pracują w garncarstwie także kobiety; są to najczęściej wdowy po garncarzach, a wyrabiają przeważnie drobne przedmioty, np. w Starej Soli zabawki i fajki.

W większych miastach tylko bardziej zamożni garncarze należą do miejscowego związku przemysłowego; od dawien dawna zaś łączą się garncarze w cechy, lub też pracują zupełnie odosobnieni.

Pracuje się od 6 lub 7 z rana do 7 lub 8 wieczorem, przez cały rok; niektórzy przerywają robotę w czasie żniw i pracują w polu. Popyt na zwyczajne wyroby garncarskie największy jest na wiosnę przed Wielkanocą, z początkiem jesieni i przed Bożem Narodzeniem.

Położenie ekonomiczne garncarzy jest skromne, a w wielu gminach należą oni do najbiedniejszych mieszkańców. Dawniej zdarzało się, że garncarz pilnością dorobił się pewnej zamożności, ale teraz stosunki się zmieniły. Wysokie cło, jakie austryackie wyroby garncarskie płacić muszą przy wywozie do Rumunii, oraz wysokie taryfy kolejowe uniemożliwiły eksport wyrobów garncarskich z powiatów husiatyńskiego, kołomyjskiego, kosowskiego i stanisławowskiego do Rumunii i zaszkodziły znacznie przemysłowi garncarskiemu w tej części kraju. Także tanie naczynia porcelanowe, oraz emaliowane blaszane i żelazne stanowią wielką konkurencyę. Również ceny drzewa opałowego wzrosły w dwójnasób, zaś na palenie węglem piece garncarzy tych nie są urządzone. Tedy cały ten przemysł podupadł, a wielka liczba garncarzy, istniejąca jeszcze teraz, tłomaczy się zachowawczem usposobieniem ludności, oraz brakiem innego zarobku.

Wydział krajowy i jego organ fachowy, tj. komisya dla spraw przemysłowych, chciały przez utworzenie trzech szkół garncarskich: w Kołomyi, Porębie i Toustem umożliwić miejscowym garncarzom fachowe wykształcenie się i pomoc zawodową i w ten sposób przemysł ten podnieść. Szkoły te jednak nie osiągnęły spodziewanego rezultatu. Garncarze ani nie [illegible] nie posłali do nich swych synów. Tłumaczy się to po części ich brakiem sprężystości, po części jednak i tem, że każda staranniejsza produkcya podraża wyrób, na odbyt zaś przy wyższej cenie towarów garncarskich brak nabywców.

Szkoła w Porębie zwinięta w r. 1894, a w Toustem w roku 1900. Kołomyjską szkołę zamierza Wydział krajowy przenieść do Lwowa.

W końcu zaznaczają autorowie sprawozdania, że możeby w ten sposób można pomódz domowemu przemysłowi garncarskiemu w Galicyi, żeby połączono garncarzy w każdej okolicy w stowarzyszenia, któreby [illegible] handlowo, [illegible] materyały hurtem i na zaliczki [illegible] gotowe i tak wyzwolono garncarzy z zależności od handlarzy.

Co i o czem piszą.

Po ostatnim „zlocie" Sokołów w Pradze, po tym zjeździe, który — jak się należało spodziewać — przekształcił się w demonstracyę panslawistyczno-francuską, wśród naszych zwolenników czechofilstwa, wśród tych naszych polityków, którzy sprawy czeskie brali więcej do serca niż polskie, okazał się nareszcie pożądany zwrot, jako skutek rozczarowania. Krakowska *Nowa Reforma* idzie na czele tych pism, które potępiają teraz czechofilizm. Dziennik ten już po kilku notatkach pesymistycznych o tej sprawie, zamieścił teraz bardzo rozumny list p. Władysława Studnickiego.

Autor tego listu powiada, że jedni uważają u nas Sokołów za wojsko, inni za proste stowarzyszenie gimnastyczne, które ułatwia usuwanie ujemnych skutków siedzącego życia. Zdaniem autora związki sokolskie są do pewnego stopnia wojskiem, o ile tworzą jakąś siłę zorganizowaną. Gdyby — powiada — we Francyi nie było w 1830 r. uzbrojonych obywateli kraju, czyli gwardyi narodowej, toby nie było rewolucyi i dlatego to rewolucyoniści zarówno w r. 1848, jak i w innych epokach rewolucyjnych zawsze przedewszystkiem się domagają utworzenia gwardyj narodowych, jako zorganizowanych obywatelskich sił. Stowarzyszenia gimnastyków pruskich w r. 1864 były jedną z tych sił politycznych, które zmusiły Prusy do wojny duńskiej. Tem samem do pewnego stopnia są związki sokolskie i dlatego można je uważać za pewną siłę polityczną — i dlatego również rosyjska prasa, zachwycając się Sokołami czeskimi, traktuje ich jako swoją kilkodziesięciotysięczną armię w środku Europy.

Przechodząc do Sokołów galicyjskich, powiada autor, że oni nie tworzą siły politycznej ponieważ są nieliczni. Pragnąłby, aby zastępy ich były znacznie liczniejsze, żeby do związku przystępowali nietylko urzędnicy, ale także rzemieślnicy i robotnicy, bo gimnastyka przysparza zdrowia, bądźmy zaś „silnym i zdrowym narodem, a reszta wszystko będzie nam dane". O ile więc autor jest zwolennikiem instytucyi Sokołów, o tyle nie może „lekceważyć nieodpowiednich tej instytucyi kroków pod względem politycznym" — i tu dalej tak pisze:

Takim krokiem był, mojem zdaniem, udział naszych Sokołów w zlocie w Pradze. Możemy podziwiać pracę kulturalną Czechów, możemy uważać za wzór godny naśladowania ich energiczną walkę o swe prawa narodowe, ale nie powinniśmy nigdy zapominać, że Czesi są naturalnymi sprzymierzeńcami naszych gnębicieli, a więc naszych naturalnych wrogów — Moskali. Przejście Galicyi pod rządy Rosyi leży w interesie Czech, gdyż wówczas Austrya, aby je utrzymać, musiałaby im nadawać ważne koncesye i dziś u nich moskalofilstwo jest tym czynnikiem, który zmusza Austryę do czynienia ustępstw na rzecz Czechów.

To też ten sam burmistrz praski Srb, który przyjmował Cesarza austryackiego, z zapałem fetował rosyjskich gości. By być cenniejszymi sprzymierzeńcami Rosyi, Czesi usiłowali już od lat przeszło pięćdziesięciu i usiłują do dziś dnia do rosyjskiego rydwanu zaprządz Słowian pod etykietą słowiańskiej idei. Wszystkie zjazdy słowiańskie mogą służyć za najlepszy dowód, jak Czesi na ogniu idei słowiańskiej umieją piec rosyjską pieczeń.

Sprawy galicyjskie Czechów nic nie obchodzą, nie znając nawet stosunków polsko-ruskich, we wszystkich objawach walki polsko-ruskiej Czesi stoją po stronie ruskiej, w wyjątkowych wypadkach interes bierny ich tylko od tego odwodzi. Moskalofile ruscy uważają się za Moskali, Rosya uważa Rusinów za Moskali w przyszłości. Wobec tego stanowisko Czechów w sprawie ruskiej jest zrozumiałem. To moskalofilstwo czeskie, będące zasadniczym rysem polityki czeskiej, zabarwiające wszelkie ich wystąpienia na zewnątrz, mogłoby nasunąć naszym Sokołom przypuszczenie, że zlot praski będzie demonstracyą moskalofilską, że więc nie należy w nim brać udziału.

Zjazd się odbył, jego charakter demonstracyi słowiańsko-francuskiej, a raczej czesko-rosyjsko-francuskiej, przewyższył wszelkie najśmielsze przypuszczenia, w tym kierunku robione. Dr. Swadkowskij z Petersburga zakończył swą mowę toastem na cześć sojuszu francusko-słowiańskiego. Generał rosyjski Rittich (samo nazwisko tego pana znamionuje jego słowiańskie pochodzenie) zalecił Czechom pielęgnowanie w swych sercach miłości dla potężnej Rosyi — bo jest w niej miejsce i dla Czechów.

Na bankiecie wyprawionym dla gości francuskich, Dausset sławił Czechy i Rosyę. — P. Dausset, rozdawszy obrazy złote i srebrne, obdarzył bronzowym Podlipnego, niegdyś burmistrza Pragi, obecnie współredaktora *Narodnich listów*. Obdarowany z uniesieniem zawołał, że są trzy miasta na świecie, w których panuje wzajemna miłość narodów: Paryż, Praga i Moskwa.

Charakterystycznym jest pożegnalny list generała Ritticha: „Życzę Wam Czechom z całego serca, ażeby Bóg wskrzesił narodowość czeską (jakby ta jeszcze była martwą), i pozwolił Czechom doznać prawdziwej wolności narodowej (jakaby istniała w generał-gubernatorstwie czeskiem), i dał Wam obfitość dóbr doczesnych, co osiągniecie wówczas, gdy stosunki handlowe dosięgną z jednej strony Adryatyku, z drugiej oceanu Spokojnego. (Rosya ma apetyt i na Adryatyk). Wierzcie, mówię Wam, i zdajcie się na Boga ziemi rosyjskiej."

Oto na demonstracyi moskalofilskiej jako goście figurowali nasi patryotyczni Sokoli i w przemówieniach swych zaznaczali swe sympatye słowiańskie, którym ci, co ich słuchali w danych okolicznościach, musieli przypisywać charakter sympatyi rosyjskich.

Cóż dalej? Jeżeli to był błąd, ale w dobrej wierze czyniony, jeżeli przedstawiciele naszego sokolstwa nie odrazu mogli zoryentować się w sytuacyi, to mogą swój błąd naprawić. Niech Sokoli polscy z Galicyi wyślą oświadczenia czeskim, że wobec tendencyj politycznych zlotu Sokołów w Pradze uważają za niestosowne nadal podtrzymywać podobnych stosunków. Ile jest uświadomionych narodowo i politycznie Sokołów polskich, tyle chyba się znajdzie zwolenników podobnej rezolucyi. A jeżeli nie, to niechaj tworzą Sokołów narodowych, opartych na szerokiej podstawie demokratycznych warstw społeczeństwa, których zachęcą, powołają do nowej instytucyi. Niech zrobią zresztą, co chcą. Niech na przykład uchwalą rezolucyę, że nie należało jeździć do Pragi!

Z radością witamy ten odwrót od polityki, opartej na sentymentaliźmie i pokrewieństwie szczepowem — z tem większą radością, że przeciwko tej polityce występowaliśmy zawsze, nawet wtedy, kiedy ona przed paru laty jak huragan porwała za sobą naszych publicystów. Radzilibyśmy tylko, żeby związki „Sokołów" galicyjskich nie pisały odezw, ani do czeskich, ani do żadnych innych „Sokołów", tylko po prostu pamiętały o tem, że nam nikt w niczem nigdy nie pomoże, że powinniśmy liczyć tylko na siebie i wypisać na naszym sztandarze zdrowy, t. zn. nieprzesadny, ale praktyczny i rozumny egoizm narodowy.

* * *

Czas ogłasza statystykę stowarzyszeń krakowskich, świadczącą korzystnie o rozwoju idei asocyacyjnej w podwawelskim grodzie.

„Znamiennym objawem dla Krakowa jest fakt, że najliczniejszą grupę stanowią stowarzyszenia naukowe; po nich dopiero idą związki robotnicze, na trzeciem miejscu znajdują się stowarzyszenia dobroczynne, a na czwartem stowarzyszenia dla kształcenia. Zauważyć należy, że w stowarzyszeniach naukowych i w stowarzyszeniach robotniczych katolicy przewyższają znacznie liczbę izraelitów, w stowarzyszeniach zaś dobroczynnych zachodzi odwrotny stosunek. I tak w roku 1899 liczba stowarzyszeń naukowych wynosiła 43, w r. 1900 wzrosła do 45. Liczba członków katolików wynosiła w 1899 roku 19.785, izraelitów 88; w r. 1900 liczba katolików wzrosła do 24.153 (76 ewangelików), 106 izraelitów. Przybyło zatem 4.368 katolików, 18 izraelitów.

Związki robotnicze nie przedstawiają w Krakowie takiej siły, o jakiej głosi partya socyalno-demokratyczna. Związków takich było w 1899 roku 27, w 1900 roku 38, przybyło zatem 11.

Stowarzyszeń dobroczynnych było 30 w obu latach porównywanych. Gdy wszakże w pierwszym z tych lat liczba katolików wynosiła 1.530, to izraelitów dochodziła do 4.573; w roku drugim cyfra katolików spada do 1.514, natomiast izraelitów wzrasta do 5.470. Nic też dziwnego, że opieka nad ubogimi izraelitami jest doskonale zorganizowana: nędzarze są zaopatrzeni, ma pomoc drobny majster do rozwinięcia warsztatu, znajdzie ratunek drobny kupiec, gdy mu grozi wskutek trudnych warunków zamknięcie handlu i ruina.

Ogólna liczba stowarzyszeń dla kształcenia wynosiła w 1899 roku 17, w następnym 24. W pierwszym liczba członków katolików wynosiła 4.395, izraelitów 1,181; w drugim katolików 5,029, izraelitów 1091.

Drugą wielką grupę stanowią stowarzyszenia dla zabawy i czytelnie, stowarzyszenia kościelne i bractwa, stowarzyszenia opiekujące się chorymi i zajmujące się grzebaniem zwłok zmarłych członków, wreszcie zaliczkowe dobroczynne. W tej grupie uderza odrazu objaw, że gdy idzie o zabawy, przeważa ludność katolicka; gdy idzie o praktyczne działanie, przeważa ludność izraelska. Stowarzyszeń dla zabawy i czytelni było w obu zestawionych porównawczo latach 22. W pierwszym 2,131 katolików, 310 izraelitów; w drugim 2 076 katolików, 325 izraelitów; ubyło 55 katolików, przybyło 15 izraelitów. W stowarzyszeniach kościelnych (i bożniczych) i bractwach, których było 20, liczba katolików wynosiła w roku ubiegłym 501, izraelitów 1.246; ubyło w porównaniu z rokiem poprzednim 12 katolików, 63 izraelitów. Do tego rodzaju stowarzyszeń należy nadto 85 ewangelików. Stowarzyszeń, opiekujących się ubogimi chorymi, było 16, a liczyły w roku ubiegłym 1.420 katolików, 2.238 izraelitów. Stowarzyszenia zaliczkowe i dobroczynne (17) liczyły 1.302 katolików, 1.092 izraelitów. Przybyło 200 katolików, 109 izraelitów.

Zajmujące cyfry przedstawiają stowarzyszenia handlowe i przemysłowe. Było ich ośm: w 1899 roku liczyły 888 izraelitów, 28 katolików; w roku następnym 715 izraelitów, 25 katolików. Natomiast w 4 stowarzyszeniach politycznych liczba katolików w roku pierwszym wynosiła 1,245, izraelitów — 0; w roku drugim katolików 1,365, izraelitów — 0. Ale gdy idzie o stowarzyszenia, opiekujące się niemowlętami, to liczba członków katolików wynosi zaledwie 87, izraelitów — 1.000!

Wogóle w Krakowie było w 1899 roku 228 stowarzyszeń, liczących 38.531 katolików, 13.178 izraelitów, czyli razem 51.709 członków. W 1900 roku było 250 stowarzyszeń, liczących 45 039 kakatolików, 14.077 izraelitów, razem 59,115 członków. Katolików przybyło 6.507, izraelitów 899, razem 7.406. Znaczący to przyrost w jednym roku".

Dobrzeby było, żeby statystyczne urzędy innych naszych miast ogłosiły taką statystykę.

Ruch przedwyborczy.

W Krakowie we wtorek odbył naradę przedwyborczą krakowski klub konserwatywny pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta d-ra Leo. Obecnych było 60 członków. Podnoszono ważność nadchodzących wyborów sejmowych ze względu na wielkie inwestycye kolejowe i wodne, które łatwiej uchwalić, aniżeli wprowadzić tę akcyę inwestycyjną w życie bez krzywdy dla uprawnionych interesów kraju, w szczególności zaś miasta Krakowa. W sprawach reformy administracyi i finansów, w sprawie oświaty winni posłowie stronnictwa konserwatywnego występować ze zdrową, umiejętnie opracowaną inicyatywą, — nie, jak sądzą przeciwnicy konserwatyzmu, w duchu negacyi postępu i rozwoju, — lecz owszem w duchu zdrowego postępu, jednakże bez pustych frazesów, nie po dyletancku. Wyrażono też życzenie, aby posłowie krakowscy wstąpili do sejmowego klubu krakowskiego, który najgorliwiej i najskuteczniej bronił interesów miasta Krakowa. Wreszcie położono nacisk na to, że należy przy walce wyborczej troszczyć się jedynie o zwycięstwo myśli konserwatywnej, zwycięstwo hasła solidarności narodowej. — Zebrani uznali się za komitet agitacyjny dla wyborów z miasta Krakowa.

KRONIKA.

Lwów 1 sierpnia.

Wiadomości urzędowe. Lekarz powiatowy dr. Orest Litwinowicz został zamianowany starszym lekarzem powiatowym.

Plac krakowski we Lwowie zamieniony zostanie na plantacye. Po usunięciu stamtąd przekupniów ze straganami, magistrat rozpoczął naprawę bruków i krawężników, a w jesieni będą zasadzone drzewka i krzewy.

Angielski jenerał Coleridge, studyujący urządzenia wojsk na kontynencie europejskim, przyprzybywa do Krakowa.

W parku Wiśniowskiego, na t. zw. wzgórzu kleparowskiem, odbył się wczoraj wieczorem tradycyjny obchód żałobnej pamiątki stracenia na szubienicy Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego, emisaryuszy paryskiego Towarzystwa demokratycznego. Była to 54-ta rocznica stracenia tych emisaryuszy na „hyclowskiej górze". U stóp pomnika, wzniesionego przed paru laty przez młodzież polską rzemieślniczą, odśpiewano „Anioł Pański" i pieśni religijno-patryotyczne. Gdy zaśpiewano z kolei „Jeszcze Polska nie zginęła", socyaliści zagłuszyli ten śpiew i zakłócili porządek, wykrzykując swój „Czerwony sztandar". Powracających w gremialnym pochodzie do miasta socyalistów musiała rozproszyć policya, gdyż za nimi ciągnął łańcuch niedorostków, którzy o późnej porze wyprawiali po mieście kocią muzykę.

Akcya kraju w sprawie Morskiego Oka. Wskutek otrzymanego od prezydyum wiecu towarzystwa tatrzańskiego telegramu w sprawie ingerencyi kraju z powodu zajętego przez węgierską żandarmeryę terytoryum spornego przy Morskiem Oku, uchwalił Wydział krajowy na specyalnie dla tej sprawy zwołanem posiedzeniu, odnieść się do prezydyum namiestnictwa z wezwaniem do poczy-

---

1)

Za naszych dni

Dramat z powszedniego życia w 3 aktach

Napisał *Mirorski.*

OSOBY.

Józef Kalenda, majster, przełożony warsztatów fabrycznych.
Majstrowa, jego żona.
Klara, ich córka.
Karol, ich syn.
Larowski, profesor.
Marya, jego córka.
Roman, dr. medycyny, jego syn.
Dyrektor fabryki.
Halerski, profesor.
Świdrowski, dziennikarz.
Studentka pierwsza.
Studentka druga.
Pani Herta.
Cambron, odźwierna.
Robotnik pierwszy.
Robotnik drugi.
Etienne, posługacz domowy.
Robotnicy, Siostra miłosierdzia, Listonosz.

Akt I.

(Mieszkanie majstra na przedmieściu; izba jadalna, troje drzwi. Na środku stół, na około niego stołki, przy jednej ścianie kredens, w nim szkło i porcelana. Na lewo przedział przez przenośny parawan, tam stół, na nim książki, atlasy, jeden stołek. Na prawo mały stół przed kanapką, dwa stołki).

Scena I.

Klara, Majster.

(Klara siedzi na lewo nad książkami. Majster wchodzi środkowemi drzwiami, ubrany w krótki surdut, siada na prawo koła stolika, opiera głowę na ręce. Klara przygląda mu się ze swojego miejsca, odkłada książki, wstaje i zbliża się do niego).

Klara.

Czy ojciec smutny, czy słaby?

Majster.

Idź-no tam, idź i zobacz... Jak naraz się składa; właśnie matka dobrodziejstwo dla nas wybudowała, więc on za to rzuca im ogień i kamienie.

Klara.

Czy ojciec mówi o Karolu?

Majster.

O Karolu, o Karolu... Dobrą sobie wybrał zabawę, robotników... ale zanim ugodzi we właścicieli fabryki, niechybnie pierwej nasz domek zburzy... nasz spokój i nasze szczęście.

Klara.

Cóż się stało?

Majster.

Wiesz przecie, że rada nadzorcza fabryki miała uchwalić stypendyum dla Karola, żeby jako inżynier fabryczny chodził tam jeszcze na specyalne kursa i żeby zwiedził kilka wielkich fabryk po świecie. Powiedział mi dyrektor, że ta uchwała ma być nagrodą za moją dwudziestoletnią służbę. A cóż Karol na to? Potajemnie to już i dawniej agitował, tylko że dyrekcya o tem nie wiedziała. Ale teraz to już jawnie zgromadzenia robotników zwołuje, prawi im mowy przeciw pracodawcom, przeciw kapitalistom — jak naraz przeciw tym, którzy mu podają chleb i naukę, obiecuje robotnikom złote góry, jak tylko wróci z zagranicy. Jak wróci! ale czy pojedzie? Przecież dyrekcya musi się dowiedzieć o jego knowaniach, łatwo być może, że i mnie będą podejrzywać i oddalą...

Klara.

Proszę ojca, Karolowi nie można się dziwić, ani brać mu za złe jego ruchliwości; zapala się i bawi się jak student. Urósł i wychował się pomiędzy robotnikami, trzyma z nimi i cieszy się jak dzieciak, że oni pana inżyniera na rękach noszą. Ale przecie on dobry chłopiec, tylko że pan inżynier i dzieciak w jednej osobie jeszcze się nie zupełnie pogodzili z sobą.

Majster.

Dzieciak! No tak, tak — bywa to nieraz, że dzieci ogień zapuszczają...

Scena II.

Ciż sami — Marya.

Marya.

(Wpada hałaśliwie, twarz rozgorączkowana, oczy płoną).

Klaro żałuj, żałuj, żeś tam nie była. Co za zgromadzenie! wiec, mityng olbrzymi! Ach Klaro, żebyś wiedziała, jak on... jak pan Karol cudownie mówił. (Przybiera pozę mówcy i deklamuje naśladując Karola). „Towarzysze, od moich lat dziecinnych jestem waszym towarzyszem, należę do was, wasz świat to mój świat, razem pracujemy i razem biedujemy, ufamy sobie i rozumiemy się. Tak jest, po tysiąc razy należy to powtarzać, wszyscy ludzie są sobie równi, wszyscy mają prawo do dobrobytu i oświaty; zbytek, marnotrawstwo, które grasują kosztem proletaryatu, to są zbrodnie, my musimy wywalczyć prawa i oświatę; na mnie liczcie zawsze — jestem wasz i z wami — będziemy i dalej razem walczyć i razem zwyciężymy. Do widzenia za rok, najdalej za dwa lata, bywajcie zdrowi, do widzenia!!" (Wyciąga ręce, jakby inne ręce ściskała). Wspaniale mówił. (Ociera sobie pot z czoła i oddycha głęboko). A pan, panie majstrze, był pan tam, słyszał pan, cieszył się pan?

Majster.

Słyszałem ja te rzeczy już nie sto razy. (Ciszej, jakby do siebie) Frazesa, obiecanki, przynęty na wędkach...

Marya.

Ach, jakbym ja chciała mieć takiego brata (ściska Klarę). Klaro, słuchaj, powiem ci teraz rzecz wielką, moje postanowienie, słuchaj: dotąd ja wcale nie żyłam, byłam lalką, manekinem; ale teraz przejrzałam, nowe ewangelie, cały świat je słyszy, zdumiewa się i raduje. Klaro, ja się zaciągam pod nowe sztandary, a ty mi dajesz właśnie najlepszy przykład; ty pracujesz, ty się uczysz, ty żyjesz, ty będziesz lekarką, doktorową... więc weź mię także, prowadź mnie. Wy oboje musicie mnie prowadzić, ty i pan Karol; pojadę z wami do Zurychu, chcę się uczyć, chcę być wolną, samodzielną, pracować dla dobra ludzkości... dla biednych, dla uciemiężonych...

Klara (Głaszcze ją po głowie i obciera jej gorącą twarz).

Dziecko, dziecko... (Do ucha) mnie się zdaje, że to nie tyle nowa ewangelia cię porywa, ale jej zwiastun cię czaruje. Widzisz Maniu, Karol, inżynier, to jeszcze taki żółtodzióbek, rzuca się na niepewne loty, a sam nie wie, czy mu już skrzydła urosły i czy go uniosą. Ładnie on urósł, prawda, ale widzisz, jeszcze nie wiadomo, na co wyrośnie. Mówię ci to szczerze i poważnie. Z nami nie możesz pojechać, bo widzisz, ja i Karol nie idziemy jednemi drogami. Ja się uczę, chcę pracować, zarabiać, nie być ciężarem rodzicom, — ale mnie żadne ewangelie, żadne programy, ani sztandary głowy nie zawracają. Karol zaś, moja droga, alboż on sam wie, dokąd on dąży. I zdaje mi się, że wogóle nikt jeszcze nie wie, co to będzie z tych nowych haseł, co się z nich zostanie, jaki to będzie ten przyszły świat, czy lepszy, czy gorszy... Ty moja droga, chcesz jechać ze mną, to znaczy, czujesz sama, że potrzebujesz opieki, obrony. Ja na to nie mam czasu, ja się uczę cały dzień i w nocy, niby ci ze mnie nie przyszło, anibym też nie mogła brać na siebie obowiązku opieki i odpowiedzialności. A Karol, ten apostoł, to dorosłe dziecko, nie może być przecież opiekunem drugiego dziecka, a do tego jeszcze takiej pieszczotki, takiej córeczki swojego ojczulka. Proszę cię moja droga, zdmuchnij te bańki mydlane, daj pokój, — nowinki nie dla ciebie, po co ty masz kłaść głowę pod ewangelię? A jeżeli ci apostoł zbałamucił główkę, zaprószył oczka, a może i serduszko rozbudził, to przecież on nie ucieka, nie znika; poczekaj trochę, a za maluczko powróci on, może jeszcze piękniejszy, jeszcze wymowniejszy.

Marya.

Klaro, nie żartuj, bo mnie się dusza wyrywa. Ja nie odróżniam, nie chcę, nie mogę, czy to zwiastun, czy ewangelia, czy jedno i drugie, ja nie wiem, ale to wiem i to ci oznajmiam, to ci przysięgam: czy chcesz, czy nie chcesz, ja pojadę z wami, ja chcę się uczyć, ja chcę zdobyć stanowisko.

Majster.

Panno Maniu, mnie się zdaje, że pan profesor nie pozwoli... A czyby też pannie Mani nie było przykro i ciężko porzucać ojczulka?

Marya.

Oho, albo to prawda i czy to pan nie zna ojczulka? czy to pan nie wie, że ojczulek sam wykłada nieraz panu Karolowi różne nowe teorye... o równych prawach, o sprawiedliwości, o rozdziale dóbr... wieleż razy ja się o tem nasłuchałam. Pan Karol głosi teżsame prawdy, tylko, że jako młody czyni to żywo, z zapałem, a że przecież nie mówi z katedry i nie ma przed sobą wykształconych ludzi, to musi inaczej mówić, niż ojczulek, żeby go ci ludzie rozumieli. A jak on ich porywa, jak nad nimi panuje! O, z pewnością ojczulek nie będzie się sprzeciwiał, bo przecież ja jestem także istotą myślącą, mogę mieć swoje zasady, swoje przekonania i robić sobie cały plan życia... O nie, ja się nie cofnę, nie ustąpię, ja tylko tą myślą żyję i to już od dawna: podróż, nauka, nowe światy, wielkie cele... A tymczasem przecież Roman zostaje przy ojczulku... (Urywa nagle i nadsłuchuje) Słyszycie? aha, już wiem, co to jest... Oni go odprowadzają do domu całą gromadą. (Otwiera okno, powiewa chustką; słychać wrzawę, ona woła przez okno) Brawo, vivat, niech żyje, niech żyje!... Patrzcie, patrzcie, niosą go na rękach (Za sceną wrzawa, niewyraźne okrzyki — pauza).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nienia zarządzeń w kierunku usunięcia obcych władz ze spornego terytoryum, przestrzegania na przyszłość, by na spornem terytoryum, dopóki spór nie będzie stanowczo rozstrzygnięty, nie przedsiębrano ze strony węgierskiej żadnych kroków, któreby mogły uzasadnić prawo do własności, wreszcie domagać się jak najrychlejszego zwołania międzynarodowego sądu polubownego, mianowanego w tej sprawie za zgodą obu rządów jeszcze w r. 1896.

Konkurs rozpisał magistrat m. Lwowa na jedno stypendyum w kwocie 252 koron rocznie z fundacyi miejskiej im. śp. arcyksięcia Rudolfa dla uczniów wyższej szkoły realnej we Lwowie wyznania chrześcijańskiego, ubogich synów mieszczan. Termin do 22 sierpnia.

Zasiłki dla internatów. Z uchwalonego przez Sejm ryczałtu dla internatów rozdzielił Wydział krajowy zasiłki w sposób następujący: Internatom męskim w Tarnowie, Tarnopolu, Lwowie (IIgi internat) po 2000 K., w Zaleszczykach 4000 K., w Krakowie 5000 K., w Sokalu 8000, w Samborze 15.000, a internatowi żeńskiemu w Krakowie 2000 K.

Wiadomości artystyczne. P. Stanisław Bogucki, baryton naszej operetki, zaangażował się do Teatru Nowości w Warszawie. — Pani Natalia Siennicka podobno zamierza przenieść się do Rosyi, na sceny rosyjskie, — tak przynajmniej zapewniają niektóre tutejsze dzienniki.

— P. K. Kamiński i pani Wojnowska, znakomici artyści teatru krakowskiego, zostali z dniem 1 września br. zaangażowani na lwowską scenę.

Z prasy. W Stanisławowie rozpoczął wychodzić miesięcznik pt. „Gmina", poświęcony interesom gmin i Rad powiatowych jako fachowy organ dla spraw autonomicznej administracyi.

Wycieczkę artystyczną urządzają w dniach 3 i 4 sierpnia koncertanci lwowscy: pani Lopatyńska, pp. Schlaffenberg i Nesslerowicz oraz dyrektor Jan Galli. W sobotę 3 sierpnia dadzą oni koncert w Jaremczu, a w niedzielę 4-go w Sasowie w sali zakładu kąpielowego pp. Weiserów.

Wiec tatrzański w sprawie Morskiego Oka odbył się — jak już z telegramów wiadomo — we wtorek w Zakopanem. Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski, inicyator wiecu, przedstawił historycznie sprawę sporu o Morskie Oko. Sprawa datuje się od r. 1883, a nabrała ważności przed sześciu laty, kiedy na życzenie Cesarza wybrano sąd rozjemczy dla ustalenia sporu i wydania definitywnie rozstrzygającego wyroku. Niestety sąd ten nie daje znaku życia, jeden z jego członków już nawet umarł, a tymczasem Węgrzy rozpoczęli na spornem terytoryum, jakby na stanowczo swojem, budowę domu żandarmskiego. W Jaworzynie, pięć kilometrów od Morskiego Oka, obozuje 30 żandarmów z oficerem. Władze węgierskie robią nad Morskiem Okiem co chcą, a władze austryackie zachowują się wobec tego całkiem biernie. Referent zakończył następującą rezolucyą: „Część dawnej Polski, wcielona do Austryi, jako kraj korony Galicyi, ma prawo do opieki państwowej granic własnych, które są równocześnie granicami Austryi. Zgromadzeni na wiecu Towarzystwa tatrzańskiego mieszkańcy kraju koronnego Galicyi, wobec świeżego pogwałcenia praw, zawarowanych wyrokami ck. sądów i wobec zajmowania siłą zbrojną król. węg. żandarmeryi części kraju koronnego Galicyi około Morskiego Oka w Tatrach, wzywają ck. rząd, aby bronił prawomocności wyroków ck. sądów, którymi pod karą 10.000 zł. wzbroniono naruszenia spornego obszaru i aby dążył do najśpieszniejszego usunięcia siły zbrojnej królestwa węgierskiego z granic kraju koronnego Galicyi. Następnie wzywają ck. rząd, aby raz wreszcie położył kres ustawicznym napaściom na granice kraju koronnego Galicyi w okolicy Morskiego Oka w Tatrach, a to przez jak najrychlejsze doprowadzenie do skutku zebrania się sądu polubownego międzynarodowego, na jaki zgodzili się przedstawiciele tak Węgier, jak Galicyi już w r. 1896, albowiem przewlekanie sprawy w nieskończoność sprawia nieobliczalne szkody moralne i materyalne mieszkańcom Galicyi, oraz osłabia powagę państwa".

W dyskusyi przemawiał najpierw p. Hopcas, który wyliczył wszystkie zabiegi przedstawicieli Galicyi w kwestyi Morskiego Oka, podnosząc zupełnie obojętne wobec nadużyć węgierskich stanowisko starosty nowotarskiego, oraz postawił rezolucyę o upraszanie namiestnika i ministra dla Galicyi, by energicznie dążyli do rozstrzygnięcia sporu; mówca ten zaproponował też wybór stałej komisyi, któraby czuwała nad sprawą sporu. — P. Rylski przypomniał, że w roku 1892 wysłano do Koła polskiego petycyę, opatrzoną 32.000 podpisów w sprawie Morskiego Oka; nie odniosła ona skutku; należałoby przeto znów zbierać podpisy na taką petycyę i zebrać ich choćby sto tysięcy, a także w akcyi przedwyborczej żądać od kandydatów na posłów do Sejmu, by zobowiązali się energicznie bronić sprawy Morskiego Oka. Należy też wysłać stosowną petycyę do Sejmu i do Rady państwa.

Dr. Zygmunt Balicki sądzi, że zwoływanie wieców w danej sprawie nie byłoby korzystniejsze, aniżeli wnoszenie martwych petycyj; dlatego przedkłada rezolucyę następującą: „Gdyby odezwa, do władz naszych legalnych skierowana, nie odniosła skutku i nie doprowadziła do usunięcia wszelkich aktów posiadania na spornem terytoryum, społeczeństwo polskie, którego opinii jesteśmy wyrazem, uznać będzie zmuszone, że na niem samem ciążyć będzie obowiązek bronienia swych praw i terytoryum swego narodu".

Poseł dr. Górski wyraził zdanie, że ze strony społeczeństwa musi być w sprawie Morskiego Oka wyrażona gremialnie akcya, gdyż prawdopodobnie nie dotychczasowe rezultatów. Nie należy jednak z tej sprawy czynić hasła wyborczego, bo chyba wszyscy posłowie i wszyscy wyborcy jednakowo bolą nad tym najazdem i nad tą grabieżą ziem polskich. Nie wystarczą środki agitacyjne, należy wywierać nacisk na władze austryackie, by wpływały na opinię, zwłaszcza węgierską i przedstawiały jej, że chodzi tu o zabranie przez wielkie państwo węgierskie kilkuset morgów ziemi nic wartej, lecz o naruszenie w sąsiedztwie ... wszystko, aby nie przegrać sprawy w sądzie polubownym, a na razie, aby przestrzegać neutralności spornego terytoryum.

Prof. Kowalewski wniósł, aby ze wszystkich trzech rezolucyj utworzyć jedną, co zostało przyjęte i w ten sposób uchwalono trzy rezolucye, identyczne z rezolucyą dra Radzikowskiego. Wszystkie te rezolucye i wnioski uchwalono, a rezolucye dra Radzikowskiego natychmiast telegraficznie zakomunikowano prezydentowi ministrów, ministrom spraw zewnętrznych i dla Galicyi, jakoteż namiestnikowi i marszałkowi kraju.

Podejrzany o podpalenie swego domu w Bełzie K. Hausmann i jego żona zostali uwolnieni z aresztu śledczego, miało się bowiem okazać, że pożar wybuchł wskutek wadliwego komina.

Festyn strażacki ochotniczych straży pożarnych z Bursztyna, Rohatyna, Bolszowiec i Halicza, odbył się w niedzielę w Bursztynie staraniem księcia St. Jabłonowskiego, naczelnika straży, syna właściciela Bursztyna. Kapele ze Stanisławowa i Rohatyna, tombola i licytacya pozostałych z tomboli przedmiotów, defilada strażaków, wyścigi cyklistów — oto szczegóły ożywionej zabawy. Wieczorem park pałacowy oświetlono światłem elektrycznem i ogniami sztucznymi.

Popis w zakładzie karnym dla mężczyzn we Lwowie odbył się we wtorek i we środę wobec dyrekcyi i urzędników zakładu, jakoteż zaproszonych gości. We wtorek, po mszy św, odprawionej o godz. 8 rano przez kapelana więziennego w kaplicy zakładowej, w czasie której to Mszy chór. złożony z 30 więźni, wykonał kilka pieśni nabożnych, zebrali się uczniowie pierwszego roku nauki w liczbie przeszło 60 w sali szkolnej poczem rozpoczął się egzamin z czytania i pisania w języku polskim i ruskim, z rachunków i nauki religii. Odpowiedzi uczniów na zadawane im pytania były szybkie i stanowcze, co wymownie świadczy o pracy grona nauczycielskiego nad wykształceniem tych „starych uczniów". Wczoraj odbył się egzamin uczniów z drugiego i trzeciego roku nauki, którzy prócz zwykłych przedmiotów pobierają w szkole zakładowej także naukę rysunków, weterynaryi, pszczelarstwa i ogrodnictwa. Po egzaminie rozdano między najpilniejszych uczniów jako nagrody książki do nabożeństwa.

Ślub. W Warszawie odbył się dziś ślub Ludwiki hrabianki Krasińskiej, córki ś. p. Ludwika i Magdaleny z Zawiszów — z księciem Adamem Czartoryskim, synem śp. ks. Władysława i Małgorzaty Adelaidy Maryi z domu księżniczki Orleańskiej.

Konkurs. Magistrat m. Doliny ogłasza konkurs na posadę inspektora policyi miejskiej z płacą 600 K i trzema pięcioleciami po 50 K.; termin do końca sierpnia.

Okradzenie poczty. Z Sokołowa donoszą, że w nocy z niedzieli na poniedziałek włamali się złodzieje do urzędu pocztowego i po rozbiciu kasy zabrali około 8000 K.

Na torze kolei Jarosław-Sokal znaleziono onegdaj dyetaryusza urzędu podatkowego Józefa Kotowskiego z Rawy. Miał on odciętą nogę i ranę na głowie. Ponieważ widziano go przedtem pijanego, sądzą, że Kotowski padł na tor, a kolej go przejechała. Odwieziono go do szpitala w Żółkwi.

W sprawie dowożonego mięsa. Magistrat m. Lwowa obwieszcza, że oprócz zaprowadzonego z dniem 15 lipca 1901 ogólnego przymusu bicia w rzeźni tak co do bydła grubego, jakoteż zwierząt mniejszych, obowiązuje z dniem tym także i przymus co do ponownych oględzin mięsa sprowadzonego do miasta, a mianowicie, że mięso takie, przywiezione do miasta, choćby było zaopatrzone w certyfikat wywozu i plombą zamiejscową, musi być sprowadzone do nowej rzeźni miejskiej i tam pod względem weterynaryjno-policyjnym ponownie oglądane, za co płaci się po 8 halerzy od sztuki. Od 1 sierpnia 1901 pobierać będą urzędy akcyzowe na rogatkach miejskich od stron wprowadzających do m. Lwowa mięso, mające certyfikat wywozu i plombę zamiejscową, depozyt odpowiadający dwukrotnej opłacie akcyzowej od przywiezionego mięsa. Mięso, którego waga nie przenosi 1 kg. jest wolne od ponownych oględzin przymusowych i za mięso w takiej ilości nie potrzeba składać depozytu. Depozyt złożony, przy wyjeździe z miasta, będzie stronom zwrócony za okazaniem poświadczenia zarządu miejskiej rzeźni, że mięso sprowadzone zostało rzeczywiście poddane oględzinom przepisanym.

Oryginalna ochronka. Czytaliśmy w tym roku w piosenkach dla młodzieży wskazówki, co ona podczas wakacyi powinna robić na wsi. Zalecano więc jej ławić żuki i motyle, uprawiać sztukę fotograficzną i t. d. Dobre to są zajęcia, ale dla dzieci; dla młodzieży starszej, naprzykład dla uniwersyteckiej, już dawniej zalecano zbieranie podań ludowych, prowincyonalizmów, oraz różnych szczegółów wiejskiego życia. A ile w tem życiu jest rzeczy nam zupełnie nieznanych, niech za dowód posłuży fakt następujący: Jest gdzieniegdzie zwyczajem, że podczas pilnych robót w polu matki zakopują swe małe dzieci aż po piersi w ziemię i tak je zostawiają pod jakiemś przykryciem zasłaniającem ich główki od słonecznych promieni. Co pewien czas matka odbiega od żniwa, aby zobaczyć, co porabia jej maleństwo. Czasami jednak zapomina o swem dziecku na parę godzin. Otóż taka oryginalna ochronka, takie zakopywanie dzieci w ziemię jest bardzo niebezpieczne z tego względu, że jeżeli na ciele dziecka znajduje się jakieś zadraśnięcie, to do organizmu bardzo łatwo może się dostać bakcylus tężca, a wtedy dziecko w strasznych mękach umiera. Często też świnie nadgryzają takie maleństwa. Taki wypadek stał się właśnie teraz na pograniczu naszem z Królestwem polskiem. Pokazuje to, jak bardzo potrzebne są na wsi jakieś ochronki.

Przygoda pani Z. Rosyjscy urzędnicy graniczni w ogóle odznaczają się uprzejmością względem podróżnych i taktem, którego zachowanie w ich gorączkowej pracy nieraz jest bardzo trudne. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły, a właśnie jeden z takich wyjątków notujemy, w nadziei, że dojdzie on do wiadomości właściwych władz rosyjskich i skłoni je do dania satysfakcyi dotkniętej osobie. Pani Z., osoba niemłoda, pochodząca z wybitnej rodziny w Galicyi, udała się do krewnych w Lubelskiem przez przykomórek w Tomaszowie. Słyszała ona, że wolno jest mieć przy sobie rozpieczętowane i napoczęte pudełko cygar. Wiozła więc ze sobą takie pudełko, a gdy ją zapytano, ile tam cygar, odrzekła, że mniej więcej pięćdziesiąt. Przeliczono jednak cygara, znaleziono, że ich jest siedmdziesiąt pięć i od tej chwili już traktowano p. Z. jako przemytniczkę. Więc zaczęto przewracać wszystkie jej rzeczy, znaleziono flakonik ze spirytusem w jej neseserze i mały kłębuszek bawełny. Widocznie chciano dokuczyć pani Z., co nawet jest do pewnego stopnia zrozumiałe, bo na przykomórku byli tylko podurzędnicy. Lecz dalsze zajścia już są zupełnie niezrozumiałe. Chociaż pani Z. wyrzekała się wymienionych wyżej przedmiotów, uważanych za kontrabandę, albo też prosiła o pozostawienie ich na przykomórku, aby mogła zabrać je, wracając do Galicyi, kazano jej jechać na dość odległą komorę i tam wezwano ją do zapłacenia 12-tu rubli cła. Nie dość jednak tego, bo przybył nagle jakiś pan pułkownik i tonem szyderczym rzekł do niej, że na taki upał powinna zdjąć z siebie wierzchnie ubranie. Pani Z. odpowiedziała mu z pewną irytacyą, ponieważ była podrażniona jego szyderskim tonem i w ogóle zachowaniem się celników. Lecz pan pułkownik tak się rozgniewał, że kazał naprawdę rozebrać się pani Z. i wezwał kobietę, której polecił zdjąć z pani Z. wszystko ubranie. Zwracamy uwagę, że takie „osobiste" rewizye wolno jest odbywać celnikom tylko wtedy, gdy mają doniesienie, że osoba rewidowana zajmuje się przemytnictwem, czego w danym wypadku być nie mogło. Rozebrano panią Z. do naga, zabrano jej zegarek, pierścionki, flakonik perfum, papierośnicę, flakonik wody kolońskiej, szal używany od lat kilkunastu, kilka par rękawiczek, słowem wszystko to, bez czego panie zwykle nie podróżują — i to wszystko uznano za nowe przedmioty, podlegające ocleniu, a wysokość cła oznaczono na rubli 120. Pani Z. osoba wątła, była tak dotknięta temi przejściami, że zemdlała, a gdy jeden urzędnik począł ją cucić jej własną wodą kolońską, pułkownik skarcił go za to. Grożono jej aresztem i w końcu kazano jej podpisać jakiś po rosyjsku napisany protokół, którego nawet nie dano jej przeczytać. Możeby jeszcze dokuczano jej w ten sposób, ale się za nią wstawił przybyły właśnie na komorę żydek, faktor tych państwa, do których w gościnę jechała pani Z. Staraniom tego żydka zawdzięcza ona, że oddano jej wszystkie rzeczy i karę 120-tu rubli zredukowano na rubli 47. Po pięciu godzinach takiej męki pozwolono pani Z. udać się w dalszą drogę.

Emancypantki afrykańskie. Ktoby przypuścił, że główne zasady feminizmu są silnie rozwinięte na... Saharze! A jednak tak jest. Według studyów Demoulin'a, mężczyźni w tem społeczeństwie pustynnem pędzą życie koczownicze tak, jak żydzi wieczni tułacze. Kobiety więc ujęły właściwy ster rządów w swoje ręce i bez kongresów, hałasów, petycyj i uniwersytetów zawładnęły wszystkiem. Potrafiły nadać sobie władzę, przewagę i powagę tak silną, o jakiej żadna z najśmielszych feministek marzyć nawet nie może. Mieszkanki Sahary zachowują swą wolność i swobodę działania, najzupełniej są wolne od kontroli mężowskiej i robią wszystko, co im się podoba. Mają one to, co Anglicy nazywają *selj guvernement* i rozporządzają same korzyściami i zyskami, które osiągają za pomocą swej pracy, której źródła czerpią w swej własnej inicyatywie i chęci. W oazach Sahary istnieją dwa rodzaje własności: tak zwana własność prawna, pochodząca z pracy i własność rabunkowa, pochodząca z gwałtów i rozbojów. Własność rabunkowa należy do ogółu, podczas gdy pochodząca z pracy jest własnością indywidualną i — zaszczytną. Kobieta, będąca właścicielką plonów pracy osobistej, jest społecznie wyżej postawiona od mężczyzny, który jest kolektywistą. Mężowie na Saharze są wiecznie za domem i nie wypełniają roli obrońców i protektorów płci słabej. Mieszkanka pustyni, zdawałoby się, więcej niż inna kobieta odczuwać winna potrzebę opieki i obrony. Tymczasem tak nie jest. Kobiety żyją nie same, bo łączą się w gminy i dają sobie jakoś radę, pomimo braku opieki swych mężów. Mąż na Saharze to wędrowiec, którego zaledwie zna rodzina. Nikt go się nie radzi, on nie wtrąca się do niczego — ani do gospodarstwa, ani do wychowania dzieci.

Zmarli. We Lwowie Zygmunt Zawadzki, starszy inżynier dyrekcyi kolei państwowych, lat 46; Ferdynand Kindel, blacharz, lat 64.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 14, w poł. + 22 R. Bar. 769. Nieruchomy. Pogoda.

Kilka myśli.

Dobry człecze pamiętaj, że nie mając blagi,
Będziesz przez całe życie pół głodny, pół nagi
Dobry człecze pamiętaj: że gdyś sztywny w karku,
Nie utargujesz wiele na świata jarmarku
Dobry człecze pamiętaj — dla twojej przyszłości —
Że lepszy łut protekcyi, niż centnar zdolności.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś, we czwartek po cenach zniżonych „Wróble" kom. w 3 aktach Labiche'a. — W piątek nie będzie przedstawienia. — W sobotę po raz 1szy „Zgrzebna koszula" (Das grobe Hemd) sztuka w 4 akt. K. Karlweisa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 30 lipca.

(Z). Dzień dzisiejszy przyniósł stosunkowo dość znaczną ulgę na targu pieniężnym. Sama już bowiem ta okoliczność, że likwidacya miesięczna przeszła dość gładko, i że ani tutaj ani w Berlinie nie zgłoszono żadnej nowej znaczniejszej niewypłacalności, oddziaływa uspokajająco, ogłoszenie zaś półrocznego bilansu kilku banków w ich liczbie peszteńskiego banku komercyalnego wzbudza nadzieję, że ten rok będzie dla banków lepszy od ubiegłego. Jakoż obroty dzisiejsze odbywały się w znacznie lepszem usposobieniu, a kursa podniosły się. Z Berlina donoszą, że gotówki jest tam pod dostatkiem i ofiarują ją chętnie na 3%. Ogłoszenie projektu nowej niemieckiej taryfy celnej ma na razie ten skutek, że przerwano zwołaną dopiero przed kilku dniami konferencyę austryackich i węgierskich delegatów ministeryalnych, która miała ułożyć projekt naszej nowej taryfy. Dalszy ciąg tej konferencyi odbędzie się dopiero we wrześniu, gdyż oba rządy muszą poprzednio zastanowić się gruntownie nad tem, jakie stanowisko mają zająć w obec zmienionej przez projekt niemiecki sytuacyi handlowo-politycznej.

Z Rzymu donoszą, że także cała prasa włoska ostro występuje przeciw projektowanym cłom niemieckim. A jednak przyznać należy, że Włochy są projektem niemieckim nierównie mniej zagrożone, niż nasza monarchia! Najważniejszym bowiem artykułem eksportu włoskiego do Niemiec są wina, podwyższenie zaś cła od win w projekcie niemieckim jest stosunkowo nieznaczne. Nadto wywożą Włosi do Niemiec dużo jarzyn i kwiatów, a od tych artykułów nie będzie się opłacało i w przyszłości żadnego cła. Najwięcej zagrożeni czują się Włosi przez znaczne podwyższenie cła od oliwy i serów, gdyż włoska oliwa i włoskie sery jak: parmezański, Gorgonzola i Strachino są w Niemczech bardzo rozpowszechnione.

Spekulanci zbożowi rozpuszczają po świecie wiadomości o bajecznych wprost urodzajach w Kanadzie. Trudno oczywiście sprawdzić, o ile są prawdziwe te doniesienia, bądź co bądź wywierają one nacisk na ceny zboża.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 630·00, węgierskie 636·00, Anglobanki 269·50, Uniony 530·00, Bankvereiny 438·50, Länderbanki 402·00, Ludwiki 428·00, Czerniowieckie 529·50, Elbethale 480·00, Renta papierowa 99·05, srebrna 98·85, austryacka złota 118·40, austr. renta wal. kor. 95·65, węgierska złota 118·40, węgierska renta wal. kor. 92·95, dukat 11·31, 20-franków 19·02—, 20-markówka 23·46, ruble 2·53¾.

Losowanie obligów pożyczki m. Lwowa. Dziś odbyło się dwunaste losowanie 4% obligów pożyczki m. Lwowa pod przewodnictwem wiceprezydenta p Michalskiego, reprezentantów rządu, kraju i Rady miejskiej. Wylosowano następujące obligi: ser. A. po 10.000 K. nr. 692 i 844; ser. B. po 5000 K. nr. 323, 648 i 626; ser. C. po 1000 K. nr. 1859, 2255, 56, 1506, 1775, 799, 2977, 3330, 2949, 1350, 1664, 1838, 3415; ser. D. po 200 K. nr. 2165, 3930, 450, 3423, 2738, 3774, 3, 2423, 2056, 571, 3454, 896, 1543, 1607.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.
Kraków, 30 lipca.

Płacono: pszenicę białą od 8·30 do 8·65 K.; czerwoną 8·25 do 8·60 K., żółtą 8·25 do 8·60 K.; żyto 6·70 do 7·30; jęczmień browarny 6·20 do 6·80 koron; na krupy 5·85 do 6·10 K.; owies 7·15 do 7·50 K., rzepak —·— do —·— K., konicz czerwony —·— do K., biały —·— do —·— K., kukurydza —·— K., — wszystko za 50 kilogramów

Bank gal. dla handlu i przemysłu.

§ **Bilans kolejowy.** W miesiącu czerwcu 1901 wynosiły dochody austryackich kolei państwowych i prywatnych prowadzonych na rachunek państwa: w ruchu osobowym 6,959.500 K. (7,629.900 podróżnych), o 97.806 K. (+192.257 podróżnych) mniej, niż w czerwcu r. z.; zaś w ruchu towarowym 13,653.800 K. (2,677.100 ton), o 360.008 koron (—111.568 ton) mniej, niż w czerwcu r. z.

Z tego przypada na koleje galicyjskie w ruchu osobowym 1,575.200 K. (845.800 podróżnych), o 6.201 K. (+59.441 podróżnych) więcej, niż w czerwcu roku ubiegłego; w towarowym 3,838.800 K. (552.900 ton), o 137.832 K. (—39.164 ton) mniej, niż w czerwcu r. z.

Ubytek w dochodach z ruchu osobowego na kolejach zachodnich tłumaczy się tem, że w tym roku Zielone Świątki przypadły już w miesiącu maju, w zeszłym roku zaś w miesiącu czerwcu, a święta te powodują zawsze znaczny wzrost frekwencyi. W maju b. r. dochody z ruchu osobowego były większe prawie o 500.000 K., niż w maju r. z., a w obu miesiącach, maju i czerwcu r. 1901 dochody z ruchu osobowego kolei zachodnich przeniosły o 400.000 koron dochody z tych samych miesięcy roku zeszłego. Na kolejach galicyjskich, na których ruch w Zielone Świątki nie jest tak znaczny, okazuje się w czerwcu br. mała nadwyżka frekwencyi i dochodów, wynikająca głównie ze zwiększonego ruchu na krótką odległość.

Zmniejszenie ilości przewiezionych towarów na kolejach zachodnich pochodzi wyłącznie z tego, że przewóz węgla, który w czerwcu z. r. w następstwie strejku w kopalniach węgla, dosięgnął nadzwyczajnej wysokości, w czerwcu b. r. powrócił do normalnych granic.

Zniżka w transportach towarów na kolejach galicyjskich tłumaczy się niepogodą w czerwcu b. r., utrudniającą dowóz towarów do kolei. Największy był ubytek w przewozie drzewa i kamieni.

Od 1 stycznia do 30 czerwca 1901 wynosiły dochody austryackich kolei państwowych 110,725.300 koron, o 3,696.000 więcej, niż w tym samym okresie roku zeszłego.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Rzym 1 sierpnia. Tutaj oraz w miejscowościach Velletri, Casino, Rocca di Papa, Portici, Padwa dało się czuć lekkie trzęsienie ziemi; w Avezzano i Settefrati było ono silne.

Kassel 1 sierpnia. Towarzystwo „Trebertrocknung" wystąpiło z pretensyą do prezesa swojej rady nadzorczej Sumpfa o zapłacenie 50 milionów marek.

Kijów 1 sierpnia. W nocy z wtorku na środę wybuchł tu pożar, który zniszczył 19 magazynów kupieckich.

Londyn 1 sierpnia. W izbie gmin wniósł wczoraj Balfour, aby marszałkowi Robertsowi wyznaczyć dotacyę w sumie 100.000 funtów szterlingów. Uzasadniając wniosek sławił Balfour wielkie zasługi Robertsa w południowej Afryce. Dep. Campbell Bannermann popierał ten wniosek, natomiast Dillon oświadczył się przeciw niemu, ganiąc postępowanie Robertsa i czyniąc mu zarzut przedewszystkiem z tego, że kazał palić i niszczyć fermy Boerów. Ostatecznie wniosek Balfoura przyjęto.

Budapeszt 1 sierpnia. Telegram, wysłany z kancelaryi gabinetowej do prezesa gabinetu Szella wypowiada najgłębsze współczucie Monarchy z powodu zgonu Szilagyi'ego. W telegramie powiedziano między innymi, że Monarcha zachowuje w życzliwej pamięci przywiązanie zmarłego do tronu i te znakomite usługi, jakie oddał monarchii i ojczyźnie. Pogrzeb odbędzie się w piątek po południu na koszt państwa. Rada ministrów uchwaliła wznieść dla Szilagyie'go grobowiec honorowy tuż obok mauzoleum Deaka.

Neapol 1 sierpnia. Crispi przepędził noc stosunkowo spokojnie; stan jego jest jednak ciągle groźny.

Petersburg 1 sierpnia. Ministerstwo oświaty zezwoliło na utworzenie od przyszłego roku szkolnego przy niektórych zakładach naukowych szkolnych kas oszczędności.

Konstantynopol 1 sierpnia. Międzynarodowa rada sanitarna zarządziła, że wszystkie osoby odjeżdżające z Konstantynopola mają być przez lekarza badane, a pakunki ich dezynfekcyonowane w porcie konstantynopolitańskim. Policya jednak sprzeciwiła się tym zarządzeniom, twierdząc, że są niemożliwe do przeprowadzenia. W sprawie tej trwają jeszcze pertraktacye między radą sanitarną a policyą.

Szangaj 1 sierpnia. Powrót dworu cesarskiego do Pekinu jeszcze nie prędko nastąpi. Dekret, zapowiadający ów powrót, jest tylko podstępem, aby uspokoić mocarstwa.

Laurenzo Marquez 1 sierpnia. Oddział Boerów z dwoma działami wszedł na terytoryum portugalskie. Wysłano przeciw nim 500 żołnierzy portugalskich z artyleryą. Nadto w pogotowiu stoi 300 żołnierzy.

Berlin 1 sierpnia. Były minister oświaty Bosse umarł.

Wiedeń 1 sierpnia. Kursa giełdy wiedeńskiej.
Losy: a) procentowe:
Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 253.—
" " " " " " 1889 3% 246.25
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% 500.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 257.25
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 239.50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 80·—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 99.—
b) bezprocentowe:
Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 16·25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 388.50, Clary 40 zł. m. k. 00.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.—, Losy m. Krakowa 20 zł. 73.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 60.00, Ofen 40 zł. 156.—, Palffy 40 zł. m. k. 159.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 48.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 25·00, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 58.—, Salma 40 zł. m. k. 200.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 234.—. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 388·00.

Lwów 1 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 424·00 do 431·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 525.00 do 535.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400·— do 410.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 358.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·30 do 98·—, 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.80 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 93·30 do 94·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·— do 96·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·70 do 102·40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 92.— do 92.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·30 do 88·—, 4½% po 200 koron 97·— do 97·70.

Wiedeń 1 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier (spokojny) 23·60. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (niezmieniony) 40·80.

Berlin 1 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 1 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·17. Mąka („Fleur de Paris") 27·00.

Frankfurt 1 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 197·80. Koleje państwowe 000·00. Alpiny 170·90. Disconto 177·50. Laura 000·00.

Wiedeń 1 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 8·28—8·29, na wiosnę 8·59—8·61; żyto na jesień 7·12—7·13, na wiosnę 7·38-7·40; kukurudza na lipiec-sierpień 5·54—5·56, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·66—5·67, na maj-czerwiec 5·45—5·46; owies na jesień 6·66—6·67, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·05—14.20, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: spokojna. Pogoda: gorąco.

Budapeszt 1 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 8·08—8·09, na kwiecień 8·44—8·45; żyto na październik 6·75—6·76; na kwiecień 0·00—0·00; owies na październik 6·31—6·33, na kwiecień 0·00—0·00; kukurudza na sierpień 5·25—5·26, na wrzesień 0·00—0·00, na na maj (1902) 5·16—5·17. Rzepak na sierpień 13·35—13·45. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: słaba. Tendencya: spokojna. Pogoda: gorąco.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:
Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*.
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 3·35*, 5·35 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 3·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Sokala: 8·15, 6·00
Z Janowa 7·45, 12·55; do 15 września w niedzielę i święta: 9.00*; do 30 września codziennie: 9·41*.
Z Brzuchowic do 15 września codziennie: 6·46 i 8·50*; w niedzielę i święta: 3·14 i 7·36*.

Odchodzą ze Lwowa:
Do Krakowa: **12·45***. **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25, 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15, do 15 września w niedziele i święta 1·25, a codziennie 3·15; do 15 września w dni powszednie a następnie codziennie 6·30*.
Do Brzuchowic. do 15 września codziennie 5·45* i 3·26 a w niedziele i święta 2·15 i 7·52*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Obszerny wyciąg z rozkładu jazdy dla głównego dworca i Podzamcza ogłasza się co środy i soboty.

42)

Wśród szczęku mieczów.

Epizod z wojny francusko-pruskiej

przez

Maksa Pembertona.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Pomimo jednak tego chłodnego rozumowania niepokój jej o tych, którzy znajdowali się w płonącym grodzie, dręczył ją nieustannie, opóźniając jej powrót do zdrowia. Siłą woli podniosła się z łóżka i przez cały następny tydzień rekonwalescencyi nie przestawała zarzucać pytaniami tych, którzy ją odwiedzali, to jest księdza Colot, Wattsa i d-ra Forbesa. Oni zbywali ją jak mogli odpowiedziami, usiłując uspokoić jej obawy.

— Najważniejszem jest teraz, abyś przyszła do zdrowia, mała pasażerko — przedkładał jej Watts. — Reszta już do mnie należy. Dopilnuję tego, aby dwóch waryatów nie posunęło dalej swego szaleństwa. Powtarzaj to sobie, jak cię napadają te niepokoje i zaufaj staremu. Miasto nie wytrzyma już długo, a jak otworzy swoje bramy, to przez nie wejdzie zdrowy rozsądek. Nie możemy przecie wymagać, aby ludzie mieli zdrowe zmysły, kiedy Niemcy tysiące bomb posyłają im codziennie na dowód swojej życzliwej pamięci. Ale to przyjdzie z czasem; wszystko się uspokoi, głowy przestaną szumieć i fermentować i ten urwisz Edmund jeszcze na kolanach przyjdzie błagać twego przebaczenia. A jak nie przyjdzie z dobrej woli, to ja ci go sam przyprowadzę za kark. Będziemy się wtedy śmiać z jego groźb na wiatr i Brandon pierwszy będzie się śmiał z nami. Brandon ma głowę na karku; potrafi ją ustrzedz przed tymi maniakami Francuzami. Jest teraz w amerykańskim konsulacie i nikt nie myśli wydać go w ręce nieprzyjaciela. Więc bądź spokojna o niego, mała Beatko i nie napędzaj sobie czarnych myśli do ładnej główki. Jestem twoim przyjacielem i mam oko na wszystko. A dla takiego starego włóczęgi, jak ja, to miło jest mieć na świecie choć jedną taką małą przyjaciółkę, jak ty.

Ona podziękowała mu z głębi serca.

— Cała wdzięczność jest po mojej stronie — rzekła, ściskając czule jego szorstką dłoń. — Czyż mogłabym zapomnieć kiedykolwiek tego, który ocalił życie mego przyjaciela? I widzisz pan... już mam się prawie dobrze. Jutro wstanę i pójdę się sama przekonać, co słychać na mieście.

— Ani mi się waż! — zawołał stary. — Słyszycie ją?!... Mała pasażerka, która ledwo może utrzymać się na nogach, chce wyjść na ulicę, gdzie bomby padają jak grad, a trupy zaścielają rynsztoki. Jeszczeby też tego brakowało!...

— A pan jednak przychodzisz mnie odwiedzać...

— O! ja to co innego... Komu tam stary Dick Watts potrzebny na świecie? Niktby po mnie nie zapłakał, a czy mniej czy więcej fajek wypalę, to nikomu na tem nie zależy.

— Ale mnie zależy..., bardzo... bardzo...

On schwycił w szeroki uścisk jej drobną rączkę.

— A to dobrą wiadomość zaniosę Annie Brown! — zawołał. — Małej pasażerce zależy na starym dziwaku. I dlatego, że jej zależy, to nie pokaże swojej ładnej twarzyczki na ulicy, póki Strassburg się nie podda. Mogę jej to powiedzieć — co?

Ona odwróciła głowę, wzdychając cicho.

— Edmund nie przychodzi — rzekła. — Jakże mogę siedzieć tu tak bezczynnie.

— Przyjdzie, jak tylko Niemcy wejdą do miasta. Możesz być tego pewną. Mężczyźni lubią, żeby współczuć z nimi, a będzie wtedy potrzebował twojej litości i współczucia. Ty przebaczysz, on zapomni, i będzie koniec wszystkiemu.

Ona milczała chwilę, potem rzekła gorąco:

— Och! dałby Bóg, żeby dziś był koniec tego strasznego oblężenia.

— Wszyscy rozsądni ludzie tego pragną. Dziś, czy jutro... zawsze musi przyjść do tego. Dosyć poświęcono już dla idei. Reszta, to już tylko zaciekłość i żądza popisu przed światem.

— Pan nie kochasz Francyi? — zagadnęła uśmiechnięta.

— Kocham ją tak samo, jak i ty, młoda pani.

Umilkła, czując, że wyczytał w głębi jej duszy myśl, która nie przestawała dręczyć ją dniem i nocą. Nie mogła już uważać się za Francuzkę, wierną w myśli i w sercu ojczyźnie swego męża. Porażka francuskiej armii, nieopatrzność jej przywódców zmieniła jej pogląd na rzeczy, ostudziła jej sztuczny zapał i wznieciła w jej myśli podziw dla saksońskiej potęgi, który w jej mniemaniu był przeniewierstwem względem człowieka, którego kochała. Jego ukochania, jego ideały przestały być jej własnemi. Odpychała tę myśl od siebie, ale wracała ona natrętnie. Jesteś Angielką! — szeptał jej ciągle głos jakiś w duszy. I nigdy goręcej nie kochała Anglii, jak teraz...

Ryszard Watts pożegnał ją tego dnia o szóstej, a w godzinę później przyszedł ksiądz Colot, powracający z codziennego obchodu swego po szpitalach. Ucieszył się niezmiernie, widząc postępy w zdrowiu młodej swojej pacyentki i ku wielkiemu jej zdziwieniu wręczył jej list, którego pisma zrazu nie poznała.

— To niezawodnie od pana kapitana — rzekł. — Słyszę, że ci Niemcy pozwalają jeńcom pisywać do rodziny. To jedno tylko, co dobrze świadczy o nich. Podzielże się z nami, moje dziecko, wiadomością, że twój mąż ma się dobrze. Ach! żeby to różyczki zakwitły znowu na twoich licach, kiedy się tu kapitan zjawi u nas.

Ona milcząc, drżącemi rękami rozrywała kopertę, na której nie mogła dostrzedz adresu, tak jak u dołu nie było żadnego podpisu. Zamglonemi oczyma zaledwie mogła odczytać niewyraźnie skreślone słowa:

— Jutro o świcie, w ogrodzie Laroche'a chirurga, twój angielski przyjaciel zginie.

Beata dwa razy odczytała list, potem zmięła go i ukryła w dłoni.

Ksiądz wpatrujący się w nią badawczo, widział, że krew uderzyła jej do twarzy, ale ani jednem słowem nie zaspokoiła ona jego przyjaznej ciekawości. Po upływie długiej chwili milczenia wstał, pożegnał się i życząc jej dobrej nocy, odszedł.

W godzinę później Rozetka wystraszona wbiegła do ciemnego kościoła, gdzie zacny staruszek klęcząc przed ołtarzem, modlił się gorąco za oblężone miasto, i oznajmiła mu z płaczem, że jej pani znikła i niewiadomo, gdzie się podziała.

— Opuściła nas, dobrodzieju!... opuściła... ona taka chora i bezsilna, że się to ledwo na nożętach utrzymać mogło, niebożę... — szlochała wierna dziewczyna. — Niech Bóg nas ma w swojej opiece! Już nigdy pewnie więcej nie ujrzymy jej na oczy!

ROZDZIAŁ XXX.

Beata opuściła kościelne podziemia, z nieokreślonym jasno zamiarem przed sobą. Wspinając się mozolnie wśród ciemności po kamiennych schodach, wydostała się na ulice miasta, nie wiedząc dokąd rozpacz zaprowadzi jej kroki. W mózgu jej tkwiła uporczywie jedna myśl tylko, że musi zapobiedz spełnieniu tej ohydnej zbrodni. Musi rozłączyć zapaśników... ale jak?! Bóg jeden tylko mógł jej w tem dopomódz.

Czuła się jeszcze bardzo osłabioną po swojej chorobie, to też drżała, otulając się w czarne fałdy płaszcza i spoglądając na dawno niewidziane niebo zasiane gwiazdami i na ciemne zarysy średniowiecznych gmachów okalających kościół od trzech z górą wieków, a przesiąkłych jeszcze całą poezyą i kolorytem dawnej, przebrzmiałej epoki. Cały dzień padał deszcz — to też wieczorne powietrze słodko chłodziło jej twarz, a otaczająca ją cisza i samotność dodawały powabu swobodzie i niezależności jej ruchów. Dopiero, kiedy stanęła na placu Klebera i spostrzegła zrównane z ziemią miejsce, gdzie niegdyś stał jej dom ukochany, przypomniała sobie okropne położenie miasta i straszne opowieści, które podawano sobie szeptem z ust do ust. Naraz z ciemnej nocy wyłoniła się ku niej smutna rzeczywistość. Cała południowa część miasta została doszczętnie zniszczoną, a wzrok jej struchlały padł na przerażające pustkowie, zawalone gruzami, popiołem i dogasającym ogniem. Dalekie budynki odbijały blaski pożaru drgające w powietrzu i zdawały się płonąć od nich wśród mroków nocy. Szkielety domów buchały ogniem i dymem, a iskry tumanami żarzyły się w przestrzeni. Nieustający suchy trzask artyleryi wtórował grozie posępnego widowiska. Beata widziała z daleka złotą smugę śmierci, prującą powietrze i opadającą ku ziemi kometę rozsypanych gwiazd, siejących zagładę życia. Widok był wstrząsającym do głębi. Stanęła jakby przykuta do miejsca, niepomna na niebezpieczeństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.